

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V

Łódź, 21 listopada 1948 r.

Nr 46 (175)

Józef Pogan

WIEŚ W OSTATNICH LATACH PRZED WOJNA

(pamiętnik)

Wieś ta leży między dwiema szosami: Kraków — Trzebinia od południa i Kraków — Olkusz od północy-wschodu. Do miasta powiatowego, Olkusza, 20 km, do Krakowa 18 km, do miasteczka Skąta 10 km, do Krzeszowic 12 km, do stacji kolejowej 7 km.

Powierzchnia gruntów wsi wynosi 680 ha, w tym jedna trzecia lasów i nieużytków. Jakość gleby średnia: na pagórkach glina, w nizinach urodzajny less. Połowę tego stanowi gospodarstwa od dwu i pół do trzech i pół ha. Jedną czwartą posiadają tak zwani „zagoniarze” od pół ha. Reszta ziemi należy do kilku bogaczy, których jest mniej więcej tyle, co bezrolnych i bezdomnych komorników.

Ilość domów 120, rodzin około 160, osób razem około 800.

Zarówno umiejscowienie wsi, jakość gleby, różnice posiadania, jak i gęstość zaludnienia wskazują wyraźnie, że jest to wieś zwykła, przeciętna, podobna do wielu, wielu wsi polskich. W jakich więc warunkach żyli tam ludzie w ostatnich latach przed wojną?

I.

ZAGONIARZE

Dom po średniaku Janie Kanarku straszny brzydota: odrapane z wapna ściany, zmurzająca strzechą, poszarpana wiatrem, świeci szparami i „przepłutankami” corocznej, nigdy nieukończonych lataniny. Do ścian przypięte chlewiki, szopki i różne „wypustki”. Popod chlewikami cztery kupki gnoju są jakby łmiennym wykazem ilości nowych gospodarzy, bo inaczej wyglądałoby na dwu: z przodu tylko dwie sienie i dwa okna. Po deszczu spod kupki gnoju ciekła gnojówka tworząc w podwórku bajorko — bród dla kaczek.

Pierwsza sień wiodła do mieszkania zięciów Kanarka: Jana Jarosza i Piotra Kubery, druga do Franka Kanarka i siostry jego, kulawej Elżbiety.

Dwumorgowiec Jarosz oprócz rolnictwa miał jeszcze dwa „fachy”: scinał pokrywom w cudzych lasach grabinę na bijaki do cepów, nosząc je na sprzedaż pod Kraków, oraz zabijał psy i koty na sadło „na oberwanie i suchoty”. Coś na tym zarobił i żył jakoś.

Jednomorgowiec Kubera był murarzem, pracował przeważnie w Krakowie, a żona obrabiała kiszczkę pola i wychowywała dzieci.

Frank Kanarek — to prawie półinteligent. Były policjant i plutonowy rezerwista. Ten poza obróbką morgi ziemi nie miał innego zajęcia, wstydził się bowiem pracować we dworze i u bogaczy. Czasem wynajmował dorywczo pracę przy budowie domu w Krakowie, a resztę czasu spędzał na czytaniu gazet i dyskusjach politycznych. Za to żona handlowała pierzem.

Elżbieta kulawa żyła najnudniej. Zestarzała się w panieństwie, aż wreszcie znużyło się jej to cnotliwe życie i dochowała się dwójga dzieci. Idąc w pole do pracy na swą morgę brała dzieci na plecy, okrywała płachtą i kuszykając, wyhubiała je, że im „pono już kółki nie było potrzeba”.

Dla reszty rodzeństwa po Kanarku nie starczyło już pomieszczenia w domu.

Po Adamie Brandysie została połowa domu, bo swoją połowę rozebrał Władek Brandys. Spadkobiercy po Adamie jakoś zalatali spróchniałymi rozdarty bok dachu. Wiatr dał szparami, hulał po poddaszu, piął deszczem, sypał śniegiem, ale to nic. Połowa domu stała kilkanaście lat służąc za mieszkania gryzącemu się wzajemnie rodzeństwu.

W izbie mieszkała matka z zamężną córką i dwójgim innych dzieci, zaś w komorze zięć Myszowski, stolarz. Wyrznął w boku ściany dziurę, wprawił drzwi i miał osobne wyjście i spokój. Koło drzwi sklecił z deszczulek chlewik, obłożył go liśćmi i było pomieszczenie dla kozy. A zamiast sieni ugrodził „zachaję” z chojny. Ciasno było w tej komorze, ale przecież było warsztat stolarski i jakoś się zmieściły, bo deski i inne graty leżały pod „zachają”. Koło pieca było wolne małeńkie półkoło. I Julce było nawet z tym wygodnie: Antek nogą popychał od warsztatu wióry i obrzynki, a Julka z „siedzącką” brała je i kładła do pieca. Szło automatycznie, bez fatygi. Za to z drobinami klusek było niewygodnie: niecki trzeba było trzymać albo na kolanach, albo na blasze kuchennej. Z ziemniakami też miała

wygodnie: podniosła tylko deszczulek i już się same kulały pod piec spod łóżka.

Witek z żoną i dziećmi nie długo wyjechał pieli przy teściowej. Zresztą musieliby gnieść się na kupie, ale wnet w chlewie brakło krowy i konia, więc Witek zrobił tam izbę. Był z niego trochę i murarz, i ceglarnik, i cieśla, to też sam wszystko zrobił: i drugą szybkę w okienko wprawił i piec z surowej cegły postawił. No i kładkę z deski przez dół po gnojowej gnojowni zbudował.

Chlewik dla kóz sklecił Witek do spółki z Jasiem Brandysiem przy ścianie domu. Nawet spory, że ciut-ciut to by i krowa się zmieściła.

Stodołę podzielili się na czworo, bo i Małka, ta z „Browaru” składała swoje zboże. Bywało trochę z tym kłopotu, bo sobie kradli: wzięli sianko, kłócili się, a nawet i bili. Ale to nic, dość że się jakoś pomieścili.

Myszowski żył jakoś i w niedzielę kawę z sacharyną pijał. Ale z Witkami było gorzej, bo choć chłop miał „parę fachów w rękach”, jednak rzadko kiedy znalazł robotę. A z morgi pola — to ni żyć, ni zdychać. Chłopina był trochę oczytany, toteż umiał psiożyć na rząd, na panów i księży. Zaś Hanka stała przeklinała rodziców, a matkę przypominała „po co ją na świat urodziła”?

Po Piotrze Króliku spadkobierców ośmiu. Wszyscy dorosli, pięcioro już żonaty. Każdy chce oddzielnie żyć z swymi rodzinami. Ale jak „gdy świat wokół „deskami zabity”? gdy nie ma wejścia do innego zawodu? Nie było więc innej rady, tylko mus było podzielić ojcowiznę, dorobić do reszty u bogaczy, czy we dworze i klepać biedę.

Chałupina podzielili się troje. Niby „nowoczesna” była i jakoś dała się „przetrolić”. Najstarszy syn zamieszkał w kuchni, dwu w przeprowadzonym pokoju. Wyjście porobili osobne, aby sobie nie przeszkadzać. Wyrznięli dziury w bokach ścian i powprawiali drzwi. I „zachaję” z chojny też zamiast sieni porobili. Technąca przyrodą sieni niewygodna, bo choć pomieściła na zimę drzewo i różnorakie graczki, ale śnieg zakurzył do imentu, zaś w lecie igliwie obleci. Więc trzeba co roku poprawiać, albo nową robić. Ale to nic, chojny pełno po lasach.

Sadem koło chałupy i polem dzielili się jak zgłodniałi kromka chleba. Nie z chciwości, broń Boże, bo te Króliki to nawet zgodna z sobą rodzina. Ale pięć morgów tego na ośmiu, to dość wąsko dla jednego wypadnie. „Pomierca” fałszywe gwoździe do tychki przymocował i wyciągał prosiutko. I pod oczami wszystkich spadkobierców ołowiem w ziemi punkcik na palik! znaczył. Dzielił się „kleby kielbasa”, by nikogo nie pokrzywdzić, nie zżewić na centymetr działki każdego właściciela.

Na sadzie stanęły jeszcze dwie chatki. Piętek Szostek i Jasiu Wieczorek (szwagrowie) sklecieli je za spłaty rodzinne. Dla trojga pozostałych brakło już placu.



fol. J. Chluski

Spróchniałe przyciesi chałupy Szczepana Mitki miały się pod wygiętymi w pałak ścianami, a dach zapadał się powoli. W izbie nie było jak w piwnicy. Ale ciemniej jeszcze w komorze u starego Włeczorka, bójmy się. Za to u zamężnej Kaśki było widno. Miała izbę w wyporządzonym chlewie. Ponieśli przez to Mitkowie sporo wydatków, bo chlew nowy musieli do ścian przybudować. Ale cóż? — trza było jakoś córkę wyposażyć, kiedy się wydała. A wydała się wcześniej i „nieźle”: w siódmym roku wyszła za czterdziesto-dwuletniego Jaska Pacyńskiego. Dychawiczny też był, ale miał trzy ćwierci morgi pola jak stół równiutki, więc się uchebili.

Pola już Mitkowie nie udzieliłi Kaśce, bo i nie było z czego udzielać. Niby wszystkiego było pięć morgów, ale półtora użytkowała matka w dożywociu, a półtora nieużytku. Na dwu morgach Mitkowie wiedli zakazany żywot. Nierzadko motykami uprawiali ziemię, na plecach znosili snopki i ziemniaki z pola, bo nając nie było za co.

W wolnym od pracy czasie Szczepan chodził z cepem i kosą pod Kraków, Aniłka z dziećmi po chrust do folwarcznego lasu. I zawsze boso. Nawet, gdy już w końcu jesieni śnieg przyprószył, też boso z dziećmi dźwigała z lasu ciężkie brzemiona.

Aniłka zawsze miała czerwone od płaczu oczy. Płakała o zgubione jajko, o zdechłe kurczę już lamentowała. Oboje z Szczepanem stale się kłócili i bili. Dzieci też ostro karcili. Bili za każdy zniszczony garniec czy krową kłós zboża, krzak ziemniaka, za małą wiązkę przyniesionego chrustu... za błąd co...

Dzieci choć się zdrowe i ładne rodziły, później „robiły się jakieś niewydarzone”, chorowały. Jedno chodziło „bokiem”, z rozdętym brzuchem, z wielką na bok przechyloną głową, drugie chwycił reumatyzm, zaś najstarszy syn już od dwunastu lat „zdziwiał się”, bo unikał bicia — sypiał nawet zimą w sąsiedzkich szopach.

Chałupina Ludwika Nabagła jeszcze niewykończona, a już się poczęła walić, że ją chłopina słupami popodpierał. Nic dziwnego, sklecił ją z próchniać pozą wsiłą na dwumorgowej działce i z ośmiorgiem dzieci wiódł dziadowski żywot. Nic to nie pomogło, że Ludwik był ogromnie pracowity i „zmyślny” do wszystkiego. Trudnił się wycinaniem w lesie bijaków, murarką, stolarką, ciesielką, nawet trumnę dla „lichszego” nieboszczyka też robił. Miał „siedem fachów, a ósmą biedę”. Nigdy nie było czym zasieć, obsadzić, jedzenia co rok już od marca brakowało. Dzieci już od ośmiu lat oddawali do służby gospodarzom. Każdy brał chętnie te pracowite „niebożatki”.

Frank Przędziak powrócił z Francji. Zredukował go tam, więc wrócił do wsi, myśląc, że się jakoś da żyć. Kupił od Wasiłki stare chlewiki i na półtoramorgowej działce, jaką żona dostała w posagu — w lesie, heł poza wsią aż dwa kilometry, sklecił budzinę. Na jedno miał wygodnie: i liście na ściółkę pod kóz, drzewo, jagody i grzyby miał w

W NUMERZE

między innymi:

- W. Kuszyk — Francja walcząca
- M. Grad — Kmieć - kapitalistyczna młodzież „warsztwy chłopskiej”
- A. Chmura — Rząd Lubelski w 1918 r.
- W. Strzemiński — Realizm w malarstwie
- J. Baculewski — O kierunek wychowania
- A. Braun — Wiersze
- T. Goździkiewicz — Cztery dni Mateusza
- J. B. Ożóg — Z przyczółka dzikiej gruszy
- P. Czyżowa — Odpowiedź poecie z przyczółka dzikiej gruszy

miejsu, zaś na drugie źle: po wodę dwa kilometry. I ręczne uprawianie polećka nie pozwalało na czas po wodę, najwyższe w niedziele. Wtedy chłopina zaglądał do wsi, opowiadał o Francji, o Niemczech, o Włochach. Uświadomiony społecznie i politycznie ten chłop, władający paroma językami, znalazł się w polskiej, w rodzinnej wsi zupełnie na pokucie, w lesie, jak święta Magdalena.

Stachowi Czapli obrzydło mieszkanie na odludziu. Usprzedał kawałek ziemi, kupił we wsi plac i wybudował z gliny chałupę. Nie zdążył jednak wykończyć, bo bieda i morderga zniszczyły mu zdrowie. Zamieszkał więc w czterech pustych, nieobielonych ścianach. Jedynymi w izbie przedmiotami były stare niecki, stołek i ławka. No i piec w kącie. Cała rodzina sypiała na podścielonej na ziemi słomie, przykrytej starymi workami. Jadali bez soli, bo o okrasie zbyt często wspominał. Pono w życiu nie wachał zapachu słoniny.

W chałupie Czapli naprawdę „straszyło”. Nikt tam nie zachodził, nawet „pan” sekwestrator. Sołtys uchylał tylko drzwi i wołał Czaple za próg do postawienia krzyżyków pod protokół „zajęcie nieruchomości”. Jak np. zboże na piu lub w snopkach. Czapla bez wahania stawiał krzyżyki, odbierał pismo i rzucał dzieciom dla zabawki. Nie obchodziło go wcale, co z nim sekwestrator zrobi. A no, „niech se zabierze dzieci i sprzeda na li-cytacji”.

Do chałupy Wawrzka Mirka na „nawsiu” było ciemno, bo deszczu dobiegał „sirena” i „Trzeba było skakać po sterzących wokół sądzawki głazach. Brudna woda zalewała przyciesi izby i bokami wokół na przeciwną stronę przed okna spływała.

Ciemno było w tej izbie, bo cztery małe szybki zasłaniały jeszcze okap strzechy. No i Zymankowskiego grusze, jablonie i Ziębów dom zasłaniały widok z południa. To też w lecie Mirkowie jadał wódkiankę na polu pod ścianą, by nie zjeść muchy, bo się bardzo brzydził.



Mirek miał dwa morgi pola. Większe dzieci były w służbie, mniejsze pomagały matce zbierać borówki, grzyby, które Wawrzek nosił do miasta. Wycinał też bijaki, lupił też korę z lipy i kręcił powroziaki. W tym „fachu” był naprawdę mistrzem. Już z daleka dojrzał lipe w lesie, podszeł cicho, „rysnął” parę razy nożem po konarze i w mig obłupił drzewo. A jak już miał „korę w worku” — wtedy nie bał się właściciela, bo odważny był i pięść miał silną.

Chodził też Wawrzek do gospodarzy z kosą czy z cepem. Ale rzadko. Nienawidził bogaczy, kłął na nich, że im nie będzie za pół darmo tyłków ucierał.

Ludwik Godeń sklecił na swej morgzie za wsią, na tak zwanej „wydmuchówce” gliniankę. Nie wleło go kosztowała, bo niemal sam z żoną wybudował. Dla kóz ugrodził pod ścianą chlewik z chrustu i liśćmi dla ciepła obłożył.

Latem Ludwik pracował we dworze, zimą młócił u gospodarzy. Balbina znów sprzątała u Brandysa we młynie. Jednego roku miała tam dość pracy, bo z łózka spod sparaliżowanej Franki wyprzątała. Dostawała za to trochę kaszy, maki, pieniędzy, a nawet starą koszulę po France.

Przez parę lat jakoś Godeniowie żyli i na niektórą niedzielę parę deko słoniny do kapusty kupili. Dopiero, gdy Ludwikowi spuściły nogi jak konewki — zaczął się „zokamyn”.

Po Sylwestrze Nowara zostało cztery morgi oddalonego pola i rozczochrana chałupa. Stała na placu Paczyńskiego, podwórko zaś było nade drogą, na placu gromadzkim. Dwie ściany od sadu były od dawna obłożone liśćmi; do jednej przylepiona szopa, zastępująca stodołę; zaś z przodu, nad drogą pod oknem szopy z plotu. Pół sieni zajmował chlewik dla kóz. Poza drogą ustepek i dwie gnojownie — dowód dwu mieszkańców tej budy. Po każdym deszczu policjant miewał okazję do nałożenia mandatu karnego, bo gnojówka spływała na drogę.

Wicek Nowara, jako główny spadkobierca po ojcu, zamieszkał w izbie. Miał szczęście, że starszy Ludwik przyzenił się na jakąś budę i kawałek pola, bo inaczej — Wicek poszedłby na komorne. Zaś zameżna Maryśka wyprządziła sobie komorne.

Gospodarze niemile spoglądali na mieszkańców tej chałupy, że to jakieś „lekkie chlebki”. Bo tak Nowara jak i Szostek (Maryśczyn) nieradzi pracowali u bogaczy. Szostek grywał chłopakom na harmonii i co nieco zarobił. Zaś Nowara ścinał nocami drzewo w dworskim lesie, układał w szopie sianie i sprzedawał je. Zazwyczaj po osiem złotych tygodniowo zarobił. Ciężko to było dźwigać drzewo pod dwukilometrowy pagórek. A jeszcze bardziej dokuczala ciemność nocy... śliska od mrozu ziemia w lesie..., zasypane śnieżne... Każdy groził był opłacony poślizgnięciem, pięciogroszówka — grzotniakiem łbem o ziemię, złotówka — wszystkimi przygodami, jakie się zdarzą w ciemności na urwistych, kamienistych zboczach lasu i drogą ponad wąwozami.

Ale Wicek był silny i cierpliwy. Przeklinał ten swój „fach”, ale innego wyjścia nie miał. Mógł być wprawdzie pracować u bogaczy, ale i zły był na nich, no i mniej by u nich zarobił, niż noszeniem drzewa.

Gospodarze pozacznie gderali na Wickę, ale w oczy nikt nie odważył się nazwać go złodziejem. Bo Wicek, dwumetrowy niemal chłop bił w mordę. Gdy inni, czy to z konieczności, czy z szacunku dla bogaczy płaszczli się przed nim — Wicek nie wybierał i bił w mordę, choćby to był nawet „pon” hrabia. Wicekowi pięć poczuł raz na sobie właściciel folwarku.

Wreszcie ucieśli się niektórzy gospodarze: chałupa Nowarów zapaliła się w nocy, że domownicy ledwie tylko w samej bieliźnie zdążyli uciec z płomieni.

Franek Karcz kupił sobie za spłatę rodziną trzy morgi pagórzystego lesiska z folwarcznej posiadłości. Za resztę pozostałej spłaty skłócił cztery ściany na chatkę. Ale dalej już nie ruszył, — jak zamieszkał w czerech pustych ścianach, tak mieszkał kilka lat. Nie to, że taczkami gnój w pole wywoził, nie to, że u bogaczy narabiał, nie to, że z grzyhami, z kwiatkami, z chojną chodził wraz z żoną do Krakowa — na wykończenie chatki nie oszczędził. Wreszcie żona od nędzy i różnych zmartwień zwariowała.

Polowę murowanego z kamienia domu po Gąsce rozebrał zięć Ludwik Czaplą. W oszpeconej połowie mieszkało nadal dwie rodziny: Jan Chochół i Franek Kowalski.

W obu „przegródkach” było ciemno jak w piwnicy. Książkę do nabożeństwa trudno tam było przeczytać.

Jan Chochół, dwumorgowiec — to stały wyrobnik u bogaczy i zbieracz jagód i grzybów. No i w dodatku odrabiał dworski za piewy dla gęsi, za słomę dla cielęcia, za liście na podściółkę, za drzewo i żywność.

Jednomorgowiec Franek Kowalski pracował bezustannie u pięćdziesięciomorgowca

Jan Paczyński, dwu i pół morgowiec — to pociecha dla pięćdziesięciomorgowca Papiza. Wychwalał go też, że „siece, kieby masyna”. Istotnie Paczyński — to pracowity, zwinny i silny chłop. I podlizywał bogaczy, — ciągnął zawsze naprzód, że wszystkich kosiarzy do cna umęczył.

Ludwik Paczyński, kowal, miał się trochę lepiej. Wprawdzie obstrzępany chodził, ale jałowych ziemniaków pojadł do syta i na machorkę grosz miał. Gdy mu brakło pracy w kuźni — dorabiał u Papiza we dworze.

Jednomorgowy Stach Nowara, ten właściwie ćwiartki domu — to „mietlarz nad mietlarze”. Jego szczyrtek ostrzygł tysiące brzoze, a plecy tysiące „ocię” wyniosły do Krakowa. Na raz brał pół kopy mioteł, albo i więcej. Zaś w czasie pilniejszych robót, polnych pracował u gospodarzy.

Pracowity ten chłopina „asekurował” się pilnością i taniścią pracy na dalszy czas — wyrobniczego żywota: i miotył dobre robił, a niedrogo sprzedawał i od bogaczy za dniówkę wziął co mu dali. Jak najlepiej, nie drogo, aby roboty do śmierci nie utracił.

Jan Leśniak, dwumorgowiec, po każdym żniwach klepisko do młócki pod „gółym niebem” ubijał. A no, nie miał, chłopisko, stodoły, więc od razu we żniwa musiał na polu otłuc. Co przyniósł z żoną parę snopków — zaraz młócił i znów szł w pole po dalsze „porcje”. Gnój też sobą wywoził, ziemniaki też motykami przecupywali.

Do pracy u gospodarzy Leśniak nie chodził. Zresztą nikt go nie chciał najmować, bo był słaby i dychawiczny. Jednak nie próżnował, — wyszukiwał w okolicy miejsce do służb i potrzebnych służących (tak zwana „agentura”). Za to od gospodarzy dostał nieco kaszy, maki, jakiś skwarek słoniny, zaś od „kandydata” do służby najmniej pół złotówki. Przy tej okazji „handlował” też i psami.

Większe dzieci Leśniaka stałe narabiały w podkrakowskich dworach. Daleko było chodzić do pracy, ale nie było innej rady.

„Niewydarzone” były te dzieci Leśniaka: pyziate i brzuchate, z wielkimi, okrągłymi głowami i nogi miały jak podkulkę, że by nawet sankami pomiędzy nimi przejechał. Ale za to były dobre i pracowite jak te pszczoły.

Po Jakubie Juraszewskim zostało sześć morgów ziemi i sześciu spadkobierców. Czworu żonatych z rodzinami i dwie dziewczyny. Zamienili więc komórki na izby, pole pocięli na kiszeczki.

Matka z córkami zamieszkała w głównej izbie, „pierworodny” Jasek w widniejszej komórze; Antoszek Nowakowską wypchnęli do ciemnej kucki.

Matka z córkami nie miały sił na pracę we dworze czy u bogaczy. Czasem tylko z konieczności obrabiała za konną robotę w polu.

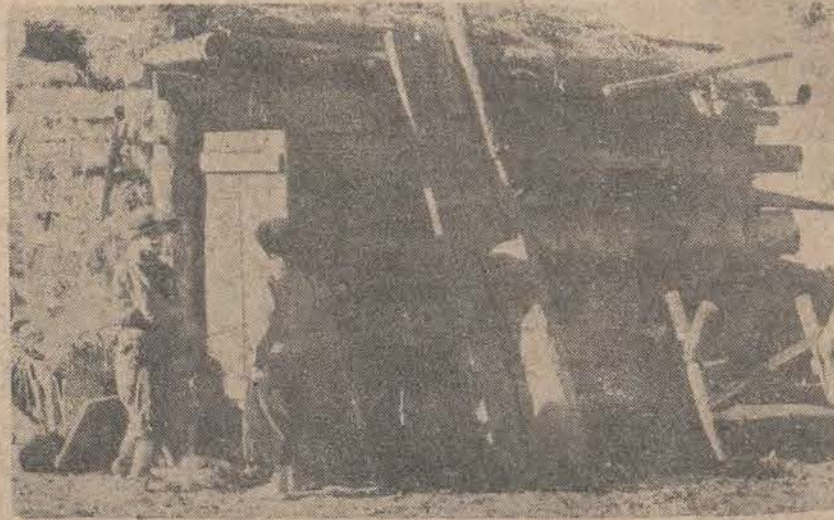
Nowakowskiego nie najmowali gospodarze, bo on „więcej patrzył do miasta niż na wieś”. Łaził więc do Krakowa za pracą. Jak przelażył tydzień, to na tydzień wyszukał pracę przy budowie domów. Obrzydło mu to wkrótce i zaczął handlować jajkami, a później potajemnym rzeźnictwem. Nie długo jednak, bo gdy policja skonfiskowała mu mięso z wieprzka — dalej już nie ruszył. Znow szukał pracy w mieście, wreszcie pozabawiony środków do życia, obstrzępany jak ten strach w konopkach — musiał szukać z żoną pracy we dworze. Wieczorami naprawiał blaszane garnki i miski. „Pierworodny” Jasek nie gardził żadną pracą. Obrabiał stałe średniaka, szewca Lorenca. Kosił, młócił, ko-

bo to wszystko szło na sól, na łachy, na podatki. Chleb jadał żarnowy.

Niektórzy średniacy chowali też konie i zarabiali wykorzystaniem biedniejszych. Mienili się bogaczami i przyjaźnili się z nimi, a „zagoniarzami” pogardzali. Toteż tak samo wyszukiwali ich w odrobku jak bogacze. Często nawet gorzej, choć nie specjalnie dla wyzysku. Gdy np. biedak odrobił we żniwa czy w kopanie kilka dniówek u średniaka, to ten, gdy przyszła orka i siew — najpierw robił sobie, a następnie, potrzebując koniecznie pieniędzy — pojechał temu, kto

zasie okupacji niemieckiej był gminnym agronomem. Poza innymi czynnościami służbowymi kontrolował gnojownie, czy też rozdawał przydziały papierosów. Jakże miał dochody z tego stanowiska? — trudno powiedzieć. Po ukończeniu wojny zbudował wspólnie z dorobkiewiczem w sąsiedniej wsi elektryczny młyn.

Wojciech Bińczycki choć miał przeszło sto morgów, jednak nie stał tak wysoko „na świeczniku” jak Papiz czy młynarz Brandys. Ten był obrzydliwie skąpy i chciwy. Wolał nawet, żeby mu się zboże w polu niszczyło,



fol. Film Polski

zapłacił gotówką. A odrobek „wisiał”. Z tych odrobków biedacy często nie tylko nie mieli żadnej korzyści, ale nawet stratę, bo zmuszeni byli sadzić ziemniaki w końcu maja, lub w czerwcu, orać ścierniska w październiku, a żyto siać w listopadzie. Na tym tle dochodziło do różnych sporów, kłótni i bójek. A bogacze jeszcze podjudzali średniaków, wmańwiając w nich, że „ni ma nie gorszego na świecie od dziadów”, zaś w biedotę — że „bogocę są stateczni, honorowi i lepsi od innych”.

III

BOGACZE

Pięćdziesięciomorgowiec Andrzej Papiz był „ozdoba” wsi. Jego rad, zdania i głosu w sprawach gromady każdy niemal słuchał jak kazania księdza. Nie był wprawdzie sołtysiem, bo to „za niski dla niego urząd”, zaś na wójta nie miał czasu i żadnego wykształcenia. Był tylko dla „okrasy” długoletnim prezesem Straży Pożarnej. Poza paroma bogaczami, najbardziej przyjaźnił się z księdzem i często go przyjmował u siebie. W każdą niedzielę jeździł z rodziną do kościoła brzyczką zaprzężoną w parę koni.

Oprócz stałych wyrobników, zawsze miał parobka do koni i dziewczkę do krów. Ci latem przy każdej robocie chodzili boszo. Do kościoła też nie chodzili. Nie wolno im też było rozmawiać z wiejskimi chłopakami i dziewczętami, żeby „się nie zepsuli w pracowitości, w szacunku dla gospodarza i w miłości do Boga”.

W przeciągu paru lat Papiz kupił trzy morgi dobrej ziemi od wyjeżdżającego ze wsi Piotra Chochola, trzy od zawiąkanego w dług Józefa Jarosza, dwie od Józefa Sypika oraz sad z zabudowaniami od Zygda Sruła Wertała. Miał więc razem Papiz dwa domy i trzy stodoły.

Miał też Papiz i swoje „troski” gospodarze. Otóż kupił sobie dwie morgi ziemi niedaleko od domu poza działką po Jakubie Leśniaku. Chciał więc kupić, albo zamienić tę działkę po Leśniaku, jednak nie udało się, bo spadkobiercy nie byli hipoteczni właścicielami. Spoglądał więc Papiz na ową działkę i czekał cierpliwie.

Wreszcie ożenił się u Leśniaka Andrzej Derwisz i zamierzył budować chatkę na swej części. Papiz się zląkł i rozpoczął „pertrakcję”. Dawał Derwiszowi także sam kawałek ziemi dalej poza wsią i jeszcze coś dopłacał. Derwisz chciał dwa razy tyle. „Zagrało” to Papizowi na nerwach. Bo jakżeż to, żeby „przekleśły dziad” żądał drugie tyle? Dawał wreszcie półtora razy tyle. Derwisz byłby się może i zgodził, ale rodzina Leśniaków nie chciała między swoje wpuszczać bogacza, bo on między lubił „podskrybywać”. Koniec końcem — Derwisz zbudował chatkę.

Papiz nie mógł tego przeboleć. Co spojrzął na tę chatkę, to „jaj diabli nim trzęsł”, że tym dziad tak mu na złość wykołł.

— Jakby to było ładnie, syroko, żeby był dziad ustąpił po ludzku — narzekał stale.

Młynarz Brandys — to najbliższy przyjaciel Papiza. Odwiedzali się stale, gościli, razem jeździli do kościoła, na jarmark, wspólnie przewodzili gromadzie.

Kacper Brandys oprócz młyną, miał około dwadzieścia morgów ziemi i lasu. Na starość nie dokupywał już morgów, tylko składał pieniądze na wyposażenie dzieci. I rzeczywiście wyposażał je dobrze, a dla najstarszego Władka pozostawił w całości majątek.

Młody młynarz nie nigdy nie robił, tylko służących i robotników pilnował. Ubiierał się co dzień odświętnie i bezustannie zartował i drwił z biedaków. Ten „komediant”, niczym błazen królewski, każdemu potrafił przyprowadzić rogi. Nawet przed kościołem też drwił z ludzi. I właśnie za ten „humor” miał jeszcze lepsze poważanie w okolicy.

Przed samą wojną młynarz kupił cztery morgi łąki, zbudował nowy dom i młyn. W

niż zapłacił możliwie najmnijem. Bibulek do machorki nie kupował, tylko w papierze palił. A Walczowskiemu z Radwanowic nie chciał za zięcia tylko dlatego, iż ten siedząc przy stole nie doszedł do pieca dla zapalenia papierosa, tylko zapalną (własną) zepsuł.

Oprócz majątku we wsi, Bińczycki kupił czterdzieści morgów pod Częstochową.

Bińczycki wychowywał dzieci w zacołaniu. O tym niechaj świadczy fakt, że pod jesień zeszłego roku wnuk Bińczyckiego pisał do mnie: „Wasze „Ugory” muszą być głupia książka, bo wy pochodzicie z bardzo niskiego pochodzenia i nigdy innych nie możecie dogonić”.

Dwudziestomorgowiec Jan Gaska był najpobożniejszym, a zarazem najskąpszym w całej bodajże wsi. Według niego „bogactwo tylko sam Bóg pomnażał”. Chodził więc w każdą niedzielę do kościoła i do spowiedzi, zaś w każde rano śpiewał godzinki, w południe „Anioł Pański”, a wieczorem „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

Gaska najmnijem odrabiał koni, lubił płacić jak inni: zimą od osiemdziesięciu groszy do jednego złotego, latem do półtora złotego, bez jedzenia, bo tylko podwieczorek dawał jak wszyscy.

Gaska co rok przykupił jakąś morgę. Nie grymasił i kupował co popało: nieużytek, las, skały, góry, pół morga, dwa trzy...

Piotr Chmura przez długie lata sołtysował we wsi. Miał około trzydzieści morgów ziemi wraz z lasem.

Opinia o Chmurze była jak najgorsza: znany on był nie tylko jako wyzyskiwacz najemników ale i oszust. Siedem swych córek wydał już to za bogaczy, już to za „lepszych” średniaków.

Józef Zbieżek też był sołtysiem przez kilka lat. Poza tym zajmował dla siebie niemal wszelkie gromadzkie „mandaty”.

Zbieżek miał około osiemnaście morgów dobrej ziemi i miał się doskonale. Jego zabudowania błyszczały wśród nędznych chat czerwonymi dachówkami.

O Zbieżku różnie powiadali: jedni, że „w czasie komasacji wielu ludzi oszukał z geometrą”, inni, że „to jest stateczny gospodarz i prawdziwy kmięć”.

Dwudziestopięciomorgowy Stanisław Gzyl był niedołężny i głupkowaty, więc nie o nim konkretnego nie można powiedzieć. Chyba to, że wybudował bogaty dom z chlewami pod spodem.

Do bogaczy zaliczano też we wsi szesnastomorgowca Łukasza Litwę i Tomasza Królik. Chorowitego Litwę nawiedzały różne niebezpieczeństwa: choroba i śmierć córki, żony i kradzież paru pięknych koni. Toteż nie dokupywał ziemi, jedynie wybudował ładny dom i stodołę „nad całą wieś”.

Zaś Królik od czasu do czasu przykupił jakąś morgę.

Józef Pogon



Andrzeja Papiza. Niektórzy nazywali Kowalskiego z powodu dużego wzrostu i siły „niedźwiedziem”. Harował więc ten „niedźwiedź” Papizowi dopóki mógł, dopóki nie utracił zdrowia. Potem to tylko bezustannie stękał, pasał kózki, lub kłuski zacierał i gotował. A Różia handlowała masłem i jajkami.

W murowanym domu po Cieleckim zamieszkało cztery rodziny: w jednej przegródce Ludwik Paczyński, w drugiej, większej, Błażek Cielecki, Józek Cielecki i Jan Paczyński.

Błażek Cielecki miał jedną morgę i kawałek jeszcze poza domem. Ten „zagoniarz” bywał tylko gościem we wsi i w domu. Nie miał dzieci, więc od wiosny do zimy żał z żoną za zarobkiem po okolicznych wsiach. Przychodzili do domu tylko na niedzielę.

Józek Cielecki — to brat Błażka i jego nieodłączny towarzysz tułaczka za groszem. Ten nie cierpiał długo i poszedł do dworu za pasterza krów. Rozprzestrzeniło się w izbie — zostało dwie rodziny, więc każda miała już swój piec, bo pierw dwa służyły trzem rodzinom.

Poza wymienionymi było jeszcze kilku „zagoniarzy”, jak mietlarz i cepak Ignacy Mirek, naprawiacz słomianych strzech (tak zwany „snopeczarz”) Kazimierz Szumny, mietlarz i „snopeczarz” Jan Wiczeorek, wyrobnik Jakub Szostak, Michał Juraszewski, Franek Leśniak, Stefan Litwa, murarz Józef Molinkiewicz, „wyprawiacz” króliczych skórek Wicek Krzyndówek, naprawiacz butów Andrzej Zurek i jeszcze paru innych.

II.

SREDNIANKI

Sredniaki byli większością i żyli różnie, zależnie od ilości i jakości ziemi, ilości rocznie, warunków utrzymania gospodarstwa itp. Wielu z nich żyło tak samo nędznie jak i „zagoniarze” i przednówek co roku doskwierał. Na ogół chowali krowy, ale rzadko kiedy spróbowali masła, sera czy jajko,

Władysław Kuszyk

FRANCJA WALCZĄCA

Walka ludu francuskiego trwa. Pytacie o historię tej walki po drugiej wojnie światowej? To sily ludowo - demokratyczne, gdy reakcja francuska w czasie wojny współpracowała z Niemcami i kompromitowała się tym samym w oczach narodu, stanęły na czele walki narodowo - wyzwolenczej, łącząc ją z przebudową ustrojową Francji kapitalistycznej na ludowo-demokratyczną.

W momencie uwolnienia Francji spotkały jednak bardzo silnego przeciwnika, nie tylko

liardów zysków kapitalistom. Przypuszczalny zysk kapitalistów w bieżącym roku w związku z postępującą stale wyższką cen wyniesie ponad trzy tysiące miliardów, gdy na wyrównanie plac robotniczych do minimum egzystencji wystarczy 400 miliardów franków. Pozostająby jeszcze kapitalistom zyski przeszło 2500 miliardów franków, gdyby rząd premiera Queuille zgodził się zaspokoić słuszne żądania robotników. Ale rząd, wierny sługa kapitalistów, na rozkaz amerykańskich monopolów nie chciał zaspokoić żądań robotniczych. Miał podwyższyć place robotnicze rząd podniósł

Nie inaczej też jest w rolnictwie francuskim. Francuskie rolnictwo jest technicznie zacofane, było ono nastawione przez kapitalistów na uprawę kultur technicznych, potrzebnych do przemysłu. Zboże Francja sprowadzała ze swoich kolonii. W stosunku do Niemiec w okresie przedwojennym rolnictwo francuskie miało 50 razy mniej zmechanizowanych gospodarstw. Obecnie po wojnie postępowe sily Francji postawiły zagadnienie przekształcenia Francji na kraj samowystarczalny pod względem chleba. Francja lekko może to osiągnąć, potrzeba jej tylko niezbędnej ilości maszyn i nawozów do uprawy ziemi. Potrzeba, aby rząd przeznaczył większą pomoc dla rolnictwa. Gospodarczy plan Moneta przewidywał roczną produkcję traktorów dla rolnictwa na dwadzieścia kilka tysięcy. Ale w tych gałęziach przemysłu amerykańscy kapitaliści odkupili większą ilość akcji od francuskich fabrykantów i nie dopuścili do produkcji maszyn w ilości nakreślonej planem.

W ten sposób Amerykanie chcą zachować Francję jako teren do eksportu nadwyżek amerykańskiego zboża. Te plany gospodarczego opanowania Francji przez Amerykanów zmierzają do gospodarczego i politycznego jej obojętnienia, aby po skruszonym oporze wpełznąć Francję do bloku wojennych podlegaczy i burzycieli pokoju.

W ten sposób razem z Europą Zachodnią i odbudowanymi reakcyjnymi Niemcami. Amerykanie pragną Francję przeciwstawić krajom Europy wschodniej, krajom budującego się socjalizmu.

Na przeszkodzie realizacji tych planów stoi francuska klasa robotnicza. Ona walcząc o godziwe warunki życiowe ludzi pracy — walczy jednocześnie o niezależność Francji.

W kwietniu br. odbył się w Paryżu impo-nujący zjazd rad zakładowych. Z pośród wielu uchwał zjazd ten podjął uchwałę demaskowania i piętnowania tych przedsiębiorstw, które dopuszczają do udziału amerykańskich kapitalistów. Zjazd ten wezwał również francuską klasę robotniczą do walki z francuską reakcją i amerykańskimi imperialistami, wezwał do obrony wolności i niezależności Francji, do obrony praw republikańskich przed zamachem na nie ze strony reakcji i amerykańskiego imperializmu. Wkrótce po tym na terenie Francji powstało tysiące robotniczych Komitetów dla obrony wolności demokratycznej we Francji. Wokoło komitetów skupiły się wszystkie sily patriotyczne kraju. Przeciwno polityce ujarzmienia Francji powstał silny opór, na jego czele stoi klasa robotnicza. W tych warunkach amerykańscy imperialiści zrozumieli, że przy sprzeciwie zorganizowanych robotników nie są w stanie przeprowadzić marshallowskiego planu „odbudowy” Europy.

Postanowili dlatego rozbić siłę zjednoczonej klasy robotniczej, osłabić jej szeregi. Od trzech lat przeszło próbują na terenie Francji utworzyć biuro amerykańskiej informacji robotniczej na Europę.

CGT wystąpiła z energicznym protestem przeciw takim zamierzeniom. Amerykanie otworzyli biuro w Brukseli, skąd agenci Amerykańskiej Federacji Pracy (organizacji Związków Zawodowych w służbie amerykańskiego kapitału) do wypchanymi kiesiami dolarów wyjeżdżali do Francji na robotę dywersyjną. Jesienią 1947 r. w USA zwołano konferencję działaczy związkowych.

W konferencji tej brali udział socjalistyczni działacze związkowi Francji. Pod przewodnictwem samego Marshalla konferencja omawiała plan rozbięcia lewicowych Związków Zawodowych. Wkrótce po tym, bo już w grudniu, Generalny Sekretarz L. Juhauz i czterech jego towarzyszy wystąpili z Generalnej Konferencji Pracy i założyli dywersyjną, współpracującą z imperialistami, organizację zawodową Force Ouvrier. Ogłosili pełną solidarność i poparcie dla planu Marshalla na terenie Francji. Jako prezent za tę akcję rozbijacze otrzymali od agenta AFL Irvinga Brovna 1.000.000 dol. Na kongresie krajowym Force Ouvrier rozbijacze zarzucali sobie nawzajem

pobieranie łapówek z tego źródła. W lipcu br. w Oslo odbył się zjazd starej amsterdamskiej międzynarodówki transportowców. Na ten zjazd przyjechało aż 2 agentów planu Marshalla. Wygłosili oni długie referaty o pomocy i dobrodziejstwie Ameryki, a w koncowym apelu wzywali „braci” robotników do poparcia planu.

Tuż przed strajkiem górników Marshall po powrocie z Grecji zatrzymał się w Paryżu, gdzie z inicjatywy jego zwołana została nowa konferencja rozbijackich Związków Zawodowych. Omawiano tutaj znowu akcję osłabienia wpływu CGT, lecz niewiele to pomogło. Na uchwały konferencji dywersantów robotnicy odpowiedzieli potężną akcją strajkową. Agentom marshallowskim nie udało się ani rozbić, ani osłabić sily zjednoczonej klasy robotniczej. Stoi ona niewzruszenie na straży obrony swoich interesów, które dziś już aż nadto widocznie są interesami całej Francji, jej wolności, dobrobytu i pokoju.

W ten sposób robotnicza klasa Francji rozpoczynając walkę o prawa o życia, walkę strajkową, podważa sily reakcji francuskiej i łamie zamierzenia amerykańskich imperialistów ujarzmienia Francji i uczynienia z niej kolonii i narzędzia wojennego w rękach USA przeciwko ZSRR i krajom ludowej demokracji.

To stanowisko robotników Francji w walce o chleb i wolność z całą siłą podkreślił Krajowy Kongres Związków Zawodowych. 2500 delegatów z całego kraju reprezentowało przeszło 5 milionów robotników. Na tle toczącej się akcji strajkowej górników Kongres Związków Zawodowych podjął uchwałę, która jako program na najbliższy okres została wydana w formie odezwy do klasy pracującej Francji. 8 punktów tej uchwały popieranym przez największą siłę społeczną Francji, ruchem zawodowy, to droga, która gwarantuje uzdrowienie stosunków społeczno-politycznych we wnętrzu Francji, droga, która gwarantuje spokój wewnętrzny, dobrobyt ludzi pracy, niezależność od anglosaskich imperialistów i wyrzeka Francję z rąk anglosaskich imperialistów, a wprowadza na drogę walki o pokój wraz z obozem demokratycznym państw ludowych.

Jest to walka przeciw wyższym cen, żądanie obniżenia kosztów utrzymania, walka ze spekulacją, obniżenie zysków kapitalistów na rzecz zwykłej pracy robotniczej gwarantującej minimum egzystencji, utrzymanie i poszanowanie praw, które klasa robotnicza dotychczas w ciężkiej walce osiągnęła; uwolnienie z więzień działaczy związkowych i Ruchu Oporu; zaprzestanie dochodzeń sądowych przeciwko strajkującym; poszanowanie demokracji i konstytucji republikańskiej, zaspokojenie słusznych żądań pracujących na terytoriach zamorskich.

W dziedzinie polityki zagranicznej robotnicza klasa Francji żąda zerwania z planem Marshalla, wystąpienia z bloku zachodniego, nawiązania przyjacielskich stosunków ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, zmniejszenia wojennego budżetu i zaprzestania wojny w Indochinach żąda odszkodowań wojennych od Niemiec. Uchwalone przez kongres związków zawodowych 8 punktów, zatwierdzone przez lud pracujący w całej Francji, uderzają z całą siłą w pozycję francuskiej reakcji i jej amerykańskich pomocników. Mobilizuje ona przeciwko klasie robotniczej uzbrojone oddziały wojsk kolorowych, używa wszystkich środków, aby złamać ruch robotniczy. W przemysłowych okręgach Francji polała się krew robotnicza, więzienia zapchane są robotnikami, wszystko to dzieje się na rozkaz „socjalistycznych” ministrów, za plecami których stoją marshallowskie agenci. Mimo tego terroru lud francuski zahartowany w ciężkich bojach z kapitałem broni bohaterstwo swoich praw. I spotkał się on w tej walce z poparciem dziesiątków milionów robotników całego świata. W oparciu o międzynarodową solidarność robotniczą, pod kierownictwem bojowej, rewolucyjnej Komunistycznej Partii Francji walczy i odniesie nad wstępnymi sily reakcji pełne zwycięstwo.



We Francji strajk górników trwa. Mimo wszelkich interwencji policyjnych górnicy nie ustępują. Na zdjęciu: grupa górników zagłębia Loary wystachuje bez przekonania przemowy komisarsa St. Etienne

i nie tyle we francuskiej reakcji, ile w stojącej za jej plecami z całą swoją potęgą imperializmie anglosaskim.

Była to główna przyczyna dla której lud francuski pod przewodnictwem klasy robotniczej w pierwszym okresie po wojnie nie był w stanie ani rozbić starego, reakcyjnego aparatu państwowego, ani dokonać takich reform społecznych, które z miejsca dałyby przewagę klasie robotniczej nad reakcją. Niedokonywanie tych reform na skutek subiektywnych i obiektywnych trudności francuskiej klasy robotniczej, pozwoliło francuskiej reakcji na złapanie tchu w walce z klasą robotniczą.

Stan zniszczeń wojennych Francji i trudności w odbudowie kraju na skutek sabotażu francuskiej reakcji popieranej przez anglosasów był drugą przyczyną utrudniającą walkę klasy robotniczej.

Wreszcie trzecią, jedną z najważniejszych było rozbić klasę robotniczą i zdradą socjalistów, którzy weszli do współpracy z blokiem proamerykańskim przeciwko najsilniejszej partii komunistów popieranej przez liczącą przeszło 5 milionów członków Generalną Konfederację Pracy.

Półowiczność i wąski zasięg dokonanych reform, jak nacjonalizacja kopalń węgla i niektórych banków, nie podważyły dostatecznie sily ekonomicznej i politycznej „200 rodzin”, co pozwoliło wspieranym przez anglosasów sily reakcji po chwilowym osłabieniu podnieść na nowo głowę i uderzyć na pozycję klasy robotniczej.

Jeszcze w okresie kiedy de Gaulle był u władzy, pod naciskiem mas ludowych francuska reakcja zmuszona była przeprowadzić nacjonalizację kopalń węgla, niektórych fabryk przemysłu stalowego, maszynowego i banków, jakie w czasie okupacji powstawały się z koncernami niemieckimi. Nacjonalizacja ta była jednak półowiczna. W przemyśle węglowym wywłaszczonym baronom zagwarantowano odszkodowanie za wywłaszczenie, oraz rentę w wysokości 8 franków od każdej wydobytej tony węgla, co przy rocznym wydobyciu około 50 milionów ton dawało francuskim przemysłowcom blisko 400 milionów franków rocznego dochodu bez żadnego ryzyka i wkładania kosztów inwestycyjnych. Pozostawiono również wywłaszczonych przemysłowców i bankierów w radach nadzorczych i zarządach nacjonalizowanych przedsiębiorstw, dając im możliwość uprawiania sabotażu i niezliczonych prowokacji w stosunku do klasy robotniczej, która z ofiarnością i z zapalem przystąpiła do odbudowy Francji.

Już w roku 1946 mimo wielkich zniszczeń w czasie wojny, dzięki pracy francuskiego robotnika, wydobycie węgla i produkcja stali osiągnęły poziom przedwojenny, a w transporcie i innych gałęziach gospodarki narodowej poziom produkcji był bliższy przedwojennemu okresowi.

Dochód z podniesionej produkcji nie dochodził jednak do rąk robotnika. W miarę jak rosły zyski fabrykantów i bankierów obniżała się stopa życia robotnika.

W roku 1938 udział kapitalistów w narodowym dochodzie Francji wynosił 29 procent, w roku 1948 podniósł się do 42,5 procent, gdy w tym czasie udział w dochodzie narodowym robotników zmalał z 45 procent w roku 1938 na 38 procent w 1948 r.

W porównaniu do roku 1938 stopa życiowa robotników obniżyła się o 49 procent, place podniosły się ledwo 10 razy, gdy dochody kapitalistów powiększyły się 30-krotnie.

Pierwsze 3 miesiące roku 1948 dały 400 mi-

liardów zysków kapitalistom. Przypuszczalny zysk kapitalistów w bieżącym roku w związku z postępującą stale wyższką cen wyniesie ponad trzy tysiące miliardów, gdy na wyrównanie plac robotniczych do minimum egzystencji wystarczy 400 miliardów franków. Pozostająby jeszcze kapitalistom zyski przeszło 2500 miliardów franków, gdyby rząd premiera Queuille zgodził się zaspokoić słuszne żądania robotników. Ale rząd, wierny sługa kapitalistów, na rozkaz amerykańskich monopolów nie chciał zaspokoić żądań robotniczych. Miał podwyższyć place robotnicze rząd podniósł

szczęśliwie, aby rząd przeznaczył większą pomoc dla rolnictwa. Gospodarczy plan Moneta przewidywał roczną produkcję traktorów dla rolnictwa na dwadzieścia kilka tysięcy. Ale w tych gałęziach przemysłu amerykańscy kapitaliści odkupili większą ilość akcji od francuskich fabrykantów i nie dopuścili do produkcji maszyn w ilości nakreślonej planem.

W ten sposób Amerykanie chcą zachować Francję jako teren do eksportu nadwyżek amerykańskiego zboża. Te plany gospodarczego opanowania Francji przez Amerykanów zmierzają do gospodarczego i politycznego jej obojętnienia, aby po skruszonym oporze wpełznąć Francję do bloku wojennych podlegaczy i burzycieli pokoju.

W ten sposób razem z Europą Zachodnią i odbudowanymi reakcyjnymi Niemcami. Amerykanie pragną Francję przeciwstawić krajom Europy wschodniej, krajom budującego się socjalizmu.

Na przeszkodzie realizacji tych planów stoi francuska klasa robotnicza. Ona walcząc o godziwe warunki życiowe ludzi pracy — walczy jednocześnie o niezależność Francji.

W kwietniu br. odbył się w Paryżu imponujący zjazd rad zakładowych. Z pośród wielu uchwał zjazd ten podjął uchwałę demaskowania i piętnowania tych przedsiębiorstw, które dopuszczają do udziału amerykańskich kapitalistów. Zjazd ten wezwał również francuską klasę robotniczą do walki z francuską reakcją i amerykańskimi imperialistami, wezwał do obrony wolności i niezależności Francji, do obrony praw republikańskich przed zamachem na nie ze strony reakcji i amerykańskiego imperializmu. Wkrótce po tym na terenie Francji powstało tysiące robotniczych Komitetów dla obrony wolności demokratycznej we Francji. Wokoło komitetów skupiły się wszystkie sily patriotyczne kraju. Przeciwno polityce ujarzmienia Francji powstał silny opór, na jego czele stoi klasa robotnicza. W tych warunkach amerykańscy imperialiści zrozumieli, że przy sprzeciwie zorganizowanych robotników nie są w stanie przeprowadzić marshallowskiego planu „odbudowy” Europy.

Postanowili dlatego rozbić siłę zjednoczonej klasy robotniczej, osłabić jej szeregi. Od trzech lat przeszło próbują na terenie Francji utworzyć biuro amerykańskiej informacji robotniczej na Europę.

CGT wystąpiła z energicznym protestem przeciw takim zamierzeniom. Amerykanie otworzyli biuro w Brukseli, skąd agenci Amerykańskiej Federacji Pracy (organizacji Związków Zawodowych w służbie amerykańskiego kapitału) do wypchanymi kiesiami dolarów wyjeżdżali do Francji na robotę dywersyjną. Jesienią 1947 r. w USA zwołano konferencję działaczy związkowych.

W konferencji tej brali udział socjalistyczni działacze związkowi Francji. Pod przewodnictwem samego Marshalla konferencja omawiała plan rozbięcia lewicowych Związków Zawodowych. Wkrótce po tym, bo już w grudniu, Generalny Sekretarz L. Juhauz i czterech jego towarzyszy wystąpili z Generalnej Konferencji Pracy i założyli dywersyjną, współpracującą z imperialistami, organizację zawodową Force Ouvrier. Ogłosili pełną solidarność i poparcie dla planu Marshalla na terenie Francji. Jako prezent za tę akcję rozbijacze otrzymali od agenta AFL Irvinga Brovna 1.000.000 dol. Na kongresie krajowym Force Ouvrier rozbijacze zarzucali sobie nawzajem

pobieranie łapówek z tego źródła. W lipcu br. w Oslo odbył się zjazd starej amsterdamskiej międzynarodówki transportowców. Na ten zjazd przyjechało aż 2 agentów planu Marshalla. Wygłosili oni długie referaty o pomocy i dobrodziejstwie Ameryki, a w koncowym apelu wzywali „braci” robotników do poparcia planu.

Tuż przed strajkiem górników Marshall po powrocie z Grecji zatrzymał się w Paryżu, gdzie z inicjatywy jego zwołana została nowa konferencja rozbijackich Związków Zawodowych. Omawiano tutaj znowu akcję osłabienia wpływu CGT, lecz niewiele to pomogło. Na uchwały konferencji dywersantów robotnicy odpowiedzieli potężną akcją strajkową. Agentom marshallowskim nie udało się ani rozbić, ani osłabić sily zjednoczonej klasy robotniczej. Stoi ona niewzruszenie na straży obrony swoich interesów, które dziś już aż nadto widocznie są interesami całej Francji, jej wolności, dobrobytu i pokoju.

W ten sposób robotnicza klasa Francji rozpoczynając walkę o prawa o życia, walkę strajkową, podważa sily reakcji francuskiej i łamie zamierzenia amerykańskich imperialistów ujarzmienia Francji i uczynienia z niej kolonii i narzędzia wojennego w rękach USA przeciwko ZSRR i krajom ludowej demokracji.

To stanowisko robotników Francji w walce o chleb i wolność z całą siłą podkreślił Krajowy Kongres Związków Zawodowych. 2500 delegatów z całego kraju reprezentowało przeszło 5 milionów robotników. Na tle toczącej się akcji strajkowej górników Kongres Związków Zawodowych podjął uchwałę, która jako program na najbliższy okres została wydana w formie odezwy do klasy pracującej Francji. 8 punktów tej uchwały popieranym przez największą siłę społeczną Francji, ruchem zawodowy, to droga, która gwarantuje uzdrowienie stosunków społeczno-politycznych we wnętrzu Francji, droga, która gwarantuje spokój wewnętrzny, dobrobyt ludzi pracy, niezależność od anglosaskich imperialistów i wyrzeka Francję z rąk anglosaskich imperialistów, a wprowadza na drogę walki o pokój wraz z obozem demokratycznym państw ludowych.

Jest to walka przeciw wyższym cen, żądanie obniżenia kosztów utrzymania, walka ze spekulacją, obniżenie zysków kapitalistów na rzecz zwykłej pracy robotniczej gwarantującej minimum egzystencji, utrzymanie i poszanowanie praw, które klasa robotnicza dotychczas w ciężkiej walce osiągnęła; uwolnienie z więzień działaczy związkowych i Ruchu Oporu; zaprzestanie dochodzeń sądowych przeciwko strajkującym; poszanowanie demokracji i konstytucji republikańskiej, zaspokojenie słusznych żądań pracujących na terytoriach zamorskich.



Strajkujący górnicy budują zapory przeciwko policji i bojówkom gaulistowskim

Mieczysław Grad

Kmieco – kapitalistyczna młodzież „warstwy chłopskiej”^{*)}



Święto ludowe

W okresie od r. 1900 do Wielkiej Wojny liczba gospodarstw kmieco-kapitalistycznych we wsi W. maleje blisko 5 razy! Liczba gospodarstw średniackich wzrasta w tym samym czasie dwukrotnie. Liczba biedniaków zwiększa się o 1/3, a kuczniacy utrzymują się „w normie”. Jeżeli więc w r. 1900 najliczniejszą klasę wśród ojców rodzin stanowili kmieci, których było znacznie więcej niż średniaków, a biedniaków było dwa razy więcej niż kuczniaków, to już za lat kilkanaście średniaków jest blisko dziesięć razy więcej niż kmieci, a biedniaków trzy razy więcej niż kuczniaków.

Do Ameryki wyjechała w omawianym okresie blisko 1/5 mieszkańców wsi. Byli to w większości biedniacy, którzy w ogóle przeżyli w zajęciach pozarolniczych. Oto obraz wsi ze stałą tendencją rozdrabniania gospodarstw i ogólnym pogarszaniem się losu materialnego prawie wszystkich mieszkańców z wyjątkiem samego wierzchołka kmieckiego. Kmiec o zwiększającej się licznej rodzinie w miarę dorastania dzieci spadał do poziomu średniaka i zupełnie łatwo dożywał chwili, kiedy jego dzieci w najlepszym razie były średniakami, a wnuki, już w zasadzie, biedniakami. Natomiast do owego kmieckiego „wierzchołka” należeli kmieci o większych gospodarstwach i mniejszych rodzinach. W tych wypadkach, nawet przy średniej rodzinie można było podnosić swój los materialny poprzez intensyfikację kultury rolniczej i wzmocnienie hodowli. Tym się właśnie tłumaczy fakt, że od założenia Kółka Rolniczego w r. 1904 wieś poczyniła szybkie postępy w technice produkcyjnej (1900 r. niecałkiem jeszcze żelazny plug, 1910 — już pierwszy kierał).

Do kogo zwrócił się nauczyciel z projektem założenia Kółka Rolniczego (1904 r.)? Przecież nie do proletariatu (kuczniaków), który żył w skrajnej nędzy często chodząc bez butów. Ani nie do biedniaków, bo cóż to za rolnik z dwoma — powiedzmy — morgami gruntu zmuszony dorabiać u bogatszego sąsiada? Zwrócił się oczywiście do tych najbogatszych, którzy by idee postępu najłatwiej mogli pojąć, do tych najbogatszych, których by było finansowo stać na podjęcie we wsi jakiejś roboty, do tych najbardziej wpływowych i posiadających władzę, którzy by potrafili przeprowadzić we wsi swoją wolę nawet przeciw ewentualnemu oporowi. Byli to zresztą ludzie z towarzyskiego kręgu nauczycieli. Jeżeli czasem wypili z kimś przy niedzieli, to właśnie z którymś z nich. Od nich też otrzymywał najhojniejsze upominki przy „zapisach” dzieci do szkoły. Kółko Rolnicze, które obok gminy i szkoły stało się dla wsi W. oknem na szerszy świat, stało się więc instytucją kmiecką. Kmieci to założyli we wsi kółko, spożywcy i wyszynk, likwidując w ten sposób monopol i przewagę karczmarza, siedzącego tam zapewne od czasów głębokiej pańszczyzny.

Kółko Rolnicze przyszło do wsi W. na fali ruchu politycznego księdza Stojałowskiego. To przecież ksiądz Stojałowski był głównym inicjatorem i apostołem ideologii włościańskich kółek rolniczych, które miały „wciągnąć ten lud do pracy, obudzić jego własną czynność... pokierować jego własnym działaniem”.

Musi więc iść popęd i porada z góry, ale praca i postępek musi być czynnikami z dołu²⁾.

Właśnie ów nauczyciel, który zainicjował miejscowe Kółko Rolnicze, był ramieniem księdza Stojałowskiego na terenie wsi W., był transformatorem tego popędu z góry. Do wsi W. ruch ludowy księdza Stojałowskiego w postaci „Wieścia i Pszczółki” oraz Kółka Rolniczego dotarł dopiero w ćwierć wieku od swoich narodzin! I to dotarł tam wówczas, gdy istniało już Polskie Stronnictwo Ludowe założone przed dziesięciu laty na kongresie

w Rzeszowie oddalonym zaledwie o 25 km od wsi W. (w kierunku południowo-zachodnim). Ruch Stojałowski dotarł do wsi W. wtedy, kiedy w P.S.L. był już sławny chłopski trybun Jan Stapiński, który na terenie pobliskich powiatów nie mało ruchu narobił jeszcze w r. 1889, kiedy znaczenia politycznego dorabiał się Wincenty Witos, i istniały już Narodowa Demokracja i PPS. Ruch Stojałowski dotarł do wsi W. w owym brzemennym roku 1904, roku ukazania się książki Jakuba Bojko.

„Chcę pisać o was, moi bracia chłopcy, coście po naszych spracowanych plecach przy pomocy chłopskich krup i jagiel i tego czarnego chlebusia wydrapali się na święty stopień kapłański, a nawet i biskupi... Hala, dzieci... Wy za nasz chleb kamieniem nas bić chcecie? W was technięto dusze niewolnicze!... Wy przysięgali słuchać biskupów, ale my w rzeczach świeckich — nie. My o swe prawa bez was walczyć musimy i będziemy”. Tak pisał już Bojko w „Dwóch duszach” owego 1904 roku. Bojko proklamował rozbrat z politycznym patronatem „braci starszych” (dworu i plebanii), głosił zerwanie

Antoni Marcinek

Na drogach walki klas

Drukujemy poniżej wypowiedź z terenu. A. Marcinek należy do młodych, „samorodnych”, samouczących talentów. Poniższe refleksje i impresje pokazują jak na „zapłodnioną” odbija się już hasło nowego etapu Polskiej Ludowej. Jak pobudza do przefermentowania solidarystycznego, pozaklasowego widzenia wsi.

Jesteśmy wychowani w świecie kapitalistycznym, w którym na każdym kroku spotykaliśmy się z wyzyskiem. Pomimo, że patrzyliśmy na to, lecz jakbyśmy tego nie widzieli, nie odczuwali...

Patrzyliśmy na wyzysk dziedzica, bogacza, chłopca, lichwiarza i wielu wielu innych, jak patrzy żołnierz na polu walki na ginących wokół żołnierzy... Patrzyliśmy, ale cóż z tego żeśmy patrzyli? Cóż z tego, gdybyśmy nie zrozumieli zasad tej niesprawiedliwości wyzysku i nie zaprotestowali?

Mało tego, człowiek wychowany w duchu kapitalistycznym, chociaż sam był biedakiem, a więc ofiarą wyzysku, to zamiast zaprotestować przeciw wyzyskowi — sam marzył, żeby zostać wyzyskiwaczem:

„Ach, żeby tak dorobić się, zgodzić sobie parobka do roboty, a żonę swej dziewczę”.

Dziedzic, posiadający kilka folwarków postanowił oddać parę folwarków w dzierżawę — będzie to wygodniej dla niego — za dzierżawę otrzyma czysty „zysk”, nie potrzebuje mieć styczności z biedotą folwarczną — niech dzierżawca użera się z tą głodną masą, mniej wystarczy jeden majątek z najpiękniejszym pałacem...

Dzierżawcy, żeby się dorobić, a z biegiem czasu „na własność” kupić sobie taki folwarczek; popędzali służbę, żle tę służbę wynagradzali, słowem „wyciskali soki”, bo jak mówi przysłowie: „Gdy dzierżawca bogacieje — z rolnika pot się leje”.

Nadchodzą żniwa — dzierżawca zmniejsza służbę, żeby tyle nie płacić, ale teraz na „żniwa musi: nająć żniwiarzy, żeby sprzątnąć zboże. Lecz to nie było dla niego zmartwieniem, małorolnych we wsi dużo, więc „zlecają się i robią”.

Po takiej zgodzie — rolnik spekulant — idzie do swoich towarzyszy i mówi, że zgodziłem się na akord wykosić zboże — chodźcie zemna, to zarobicie sobie: będę płacił tyle a tyle... a więc obliczy po tyle, żeby samemu z każdego zarobić. Aby druzdy nie poznał się, że on ich wyzyskuje — to razem z nimi on również kosi, ale zarabia dwa, trzy razy więcej od swoich kolegów. Te „wiecej” co to jest? — wyzysk. Takich przykładów jest bardzo wiele: na wsi, w mieście, a nawet w lesie przy robotach leśnych, lecz najwięcej ten wyzysk występuje w handlu, gdzie towar przechodzi od producenta „drogą pośrednią” — do konsumenta... — o tym każdy dobrze wie, bo każdy odczuł na własnej skórze.

z feudalizmem, bo oddzielenie Kościoła od spraw świeckich wsi. Wolność chłopca do pełnego obywatelstwa w ramach kapitalistycznego systemu. „A ciebie chłopie jak podatek i procenta a kapitał regularnie płacisz, jak rekruta a powinności gminne odrobisz... toś pan całą gębą i jedną tylko śmierć cię z domu wypędzić może a zresztą nikt. Słyszysz? Nikt, nawet sędzia, nawet biskup, nawet minister, nawet król nie może cię wypędzić... ale czy ty masz odwagę cywilną do twojego dzisiejszego państwa i przy tym prawie, jakie ci przysłużył...”

Już w r. 1890 przyszło do ostrego ideologicznego starcia między Stojałowskim i Stapińskim przy okazji zjazdu chłopskiego towarzystwa parcelacyjnego w Wadowicach. Stojałowski pisał w swojej „Pszczółce”:

„1) Czy p. Wystouch, Stapiński i towarzysze wierzą w Pana Naszego Jezusa Chrystusa, że jest Bogiem prawdziwym i Zbawicielem świata?”

2. Czy wierzyliście w Kościół święty katolicki, którego posłańcem i najwyższą głową jest Namiestnik Chrystusa, Papież rzymski?

3. Czy wierzyliście, że 10 przykazań Bożych jest fundamentem sprawiedliwości i podstawą społecznego ładu?

4. Czy wierzyliście, że prawdziwą dźwignią ludzkości jest łaska Boża poświęcająca i wspomagająca a jej źródła: siedem świętych Sakramentów Kościoła?

5. Czy chcecie pracować dla dobra Matki Ojczyzny Polski w duchu naszej tradycji narodowej (podkreślenie moje — M. G.) — i potępiacie potępione przez Kościół z zasady socjalizmy?

6. Czy chcecie poprawy stosunków społecznych nie za pomocą socjalistycznych przewrotów, nie za pomocą rewolucyj i tajnych związków, ale przez wykonanie chrześcijańskiego prawa miłości i postęp oparty na zasadach katolickich?

Oto nasze pytania. Jeżeli na te pytania nie dacie odpowiedzi jasnej i stanowczej — a odpowiedzi takiej, jaką każdy katolik na nie dać powinien, wtedy powiemy, żeście wilcy w owczej skórce i walczyć przeciw nam będziemy do upadłego, tak jak walczyliśmy dotąd przeciw fałszywym konserwatystom²⁾.

2) „Wieniec i Pszczółka” z 8.6. 1890 r.

Weźmy książeczkę z bajeczkami, by się dowiedzieć: co wstrzykiwano w dziecięce duszyczki...? Przerzucamy kartkę po kartce, czytamy tytuły bajek: wszędzie królewicze, zaczerpnięte królewiny, bogaci kupcy i tym podobni... a gdy zaczniemy czytać te bajeczki odkrywamy w nich zasadę nierówności klasowych... wszędzie przepych, od złota brylantów aż się mieni, od sutych pańskich potraw aż się stoisz uginając, a służący, poddani kłaniają się „w pas”...

Czasami biedna sierotka występuje w bajeczce w roli bohaterki, ale jaką rolę ten bohater odgrywa? Ano: — pasie owieczki, lub krówki. Ale czyje pasie?... „zamożnego gospodarza”, lub dziedzica... Ale za to, że pasie, ten zamożny gospodarz, lub dziedzic nie kupił tej sierotce bucików, ciepłego ubranka, nie dał jej dobrego jedzenia... I tego pisarz kapitalistycznego świata nieraz nie widzi, a cóż widzi? — Widzi sierotkę drżącą z zimna, zachwyca się melodią fujarki, a w końcu widzi duszyczkę, którą „bieda z ciała wygnana” i ta duszyczka wędruje prosto do nieba, do Boga, do wieczystego szczęścia!

Byłem na filmie produkcji radzieckiej. Film dla dzieci: — bajeczka. Bohaterem tego filmu był syn ubogiej wdowy, który czerpiąc wodę w wyrąbanym otworze stawu — złowił szczupaka... Chłopiec uciekł się bardzo, bo w domu nie było co ugotować... Szczupak zaczął prosić chłopca, żeby go puścił, a za to przyrzekł mu, że wszystko czego zażąda będzie miał, a więc zlitował się chłopiec — puścił szczupaka... ale za to, co zażądał, to się stało. Zainteresowała mnie dalsza treść filmu, gdy chłopiec dowiedział się o królowinie „Plaksidzie”, która zawsze płakała, a król, ojciec jej, ogłosił, że ten kto ją rozśmieszy — ten jej mężem zostanie...

Gdy chłopiec przyjechał do zamku królewskiego... — myślałem: Co się stanie, gdy „rozśmieszy” „Plaksidę”? Co się stanie?... Czy królem zostanie?... Czy zasiądzie na złotym tronie, w złotej koronie, a służący i poddani będą mu się „kłaniać w pas”... Czy ten chłopiec porzucił to życie, którym żył... zerwał z otoczeniem swojej klasy?... Byłem przygotowany do krytyki, że jeśli nastąpi to, o czym powyżej nadmieniliśmy — nie będzie to literatura socjalistyczna, ale kapitalistyczna... Lecz stało się inaczej — chłopiec rozśmieszył „Plaksidę” — porwał ją, a raczej ona sama wskoczyła na pięć, na którym on przejechał i uciekł z zamku królewskiego... Uciekł pomiędzy lud, gardząc tronem, złotą koroną, pychą i zbytkiem świata wyzysku.

Brawo pisarze radzieccy! — takich pisarzy świat pracy żąda. Literatura Związku Radzieckiego jest na wysokim poziomie: pozbyła się cech świata kapitalistycznego „wywyższenia” lub „poniżenia”, a przyjęła cechę „zrównania”.

W ciekłej odpowiedzi Stapińskiego zamieszczonej w „Przyjacielu Ludu” znalazło się między innymi takie zdanie: „Nie wiem skąd ksiądz Stojałowski wie, że ja w Boga nie wierzę. Ja bym przedzie powiedział, że on nie wierzy, bo on tylko obraża Pana Boga, mieszkając Go do takich brzydkich spraw i zasłaniając Nim swoje różne postępy” (podkreślenie moje — M. G.).

Tymczasem w chwili zakładania we wsi Kółka Rolniczego w r. 1904 istniały na terenie wsi W. stosunki, które wymagały, by na drodze postępu z feudalizmu w kapitalizm wleś przeszła wprawdzie przez (mocno już, wobec sytuacji na wielu innych galicyjskich wsiach, zapóźniony) etap stojałowszczyzny. Na drodze bowiem do wykrystalizowania się świadomości klasowej proletariatu i biedniaków stał feudalny system powłazów kmieci i działo w poprzek podziałów klasowych.

Taki kmiec miał wokół siebie pewną ilość rodzin działo, które związane z nim były zależnościami nie tylko ekonomicznymi, ale także kulturalnymi — obyczajowymi, bazującymi na tych pierwszych. Odchodzący od kmiecia parobek otrzymywał „kołędę” w postaci tzw. „kołacza”, który oczywiście przez obie strony uważany był za prezent. W czasie żniw całe rodziny działo, z niemożliwymi wcale przybywającymi na kmiecie gospodarstwami, przy czym żywienie nieproduktywnych (na razie) działo, dzieci liczone było kmieciowi jako gest wielkodusznego miłosierdzia. W razie zachorowania działo kmiec dawał darmo furmankę po księdza, podobnie na pogrzeb (ale już furmanka po doktora wymagała odróbki). Kiedy działo urządzał wesele, lub chrzciny, kmiec obowiązywał według starodawnego obyczaju użyć mu furmanki, ale z kolei jemu należało się poczęstunek. Kmiec był więc „patronem „swolch” działo. Aby zapewnić sobie jego „opiekę” działo zwykle prosił kmieci i ich żony za kumów i kumeczki. W ten sposób cała niemal wieś dzieliła się w świadomości jej mieszkańców nie klasowo, ale na jakieś kmieci — kumoterskie rejony, w których pomiędzy kmieci i działo utrzymywały się stosunki tak bardzo podobne do stosunków pomiędzy feudalnym suzerenem i jego wasalami. Stosunki więc poniekąd średniowieczne wewnątrz samej wsi³⁾. One to skutecznie hamowały proces narastania świadomości klasowej biedniaków i proletariatu, zwłaszcza że bardzo mocno usztywnia je kilkuletnia tradycja wsi pańszczyznianej, wsi odległej o 6 km od Łańcuta, rezydencji hrabiów Potockich, o których kluczu złożonym z wielu folwarków o kilkuset tysiącach hektarów ziemi rozpowiadano wieściami we wsi W. z niesłabnącym zainteresowaniem.

Działo, tzn. klasy proletariacka i biedniacka w okresie zakładania Kółka Rolniczego w W. podlegała tam straszliwemu wyzyskowi zarówno publicznie jak prywatnie. Ledwie taki odrósł od ziemi, szedł do kmiecia za pastuchą do pasienia krów, a także do innych posług gospodarskich, jak obieranie kartofli, przygotowywanie karmy dla świń itd. Po tak spędzonym dzieciństwie, które pozbawione było radości i uśmiechu, pastuch stawał się parobkiem, którego twarde dni robocze rozpoczynał się już o 3 rano. Nie mając perspektywy na założenie własnej rodziny z powodu braku warsztatu pracy nie raz całe niemal życie służył u kmiecia, jako parobek. A jeżeli się ożenił, to nie tylko odrabiał zagony (za jedną „rowkę”) pracowało się jeden dzień przy żniwach), ale jeszcze uprzednio przyjąć musiał do kmiecia z wódką, żeby ów dał zagon na odróbkę jemu, a nie innemu działo.

Ta kmieci przewaga dawała się odczuwać także w życiu publicznym wsi. Nie tylko Kółko Rolnicze założyli kmieci, a w roku 1911 Kęse Stefczyka pod hasłem walki z lichwą. Kmieci faktycznie, a nawet do pewnego stopnia formalnie rządzą wsią. Aż do r. 1919 we wsi obowiązywała galicyjska ordynacja przy wyborze radnych do samorządu gminnego. Wyborcy dzielili się na 3 „koła”: do pierwszego należeli kmieci, do drugiego średni gospodarze, a do trzeciego małorolni. Dla kuczniaków nie było koła, ci w ogóle nie mieli prawa głosu!

Rada gminna i wójt w ten sposób wybrani prowadzili we wsi politykę w interesie klasy kmieco-kapitalistycznej. Np. szarwark ustalało się nie według wysokości podatku, ale według „numeru”.

Szkola, która przed kilku laty została otwarta, choć formalnie dla wszystkich, to przecież faktycznie była narzędziem postępu przede wszystkim dla kmieci. Kmiecia stać było na to, by dziecko ubrać, kupić mu „tabliczkę”, „rysik”, elementarz i posłać do szkoły, podczas gdy dziecko proletariackie czy biedniackie albo w tym czasie musiało paść kmiecie krowy, albo z braku odzieży i obuwia — zwłaszcza zimą — przykuta było do przpiecku. Cały świat, zdawało się, był za kmieci, a przeciw działo.

Jeżeli więc trafilo się nawet, że któryś z biedniaków wybrany został do rady gminnej, to musiał głosować tak, jak chcieli kmieci. Niechby spróbował inaczej! Pazu-

*) „Wieniec i Pszczółka” r. 1892 Nr 10, str. 74.

2) Patrz prace M. Grada: „Wieś” nr 43 — „Walka klasowa na wsi rzeszowskiej”; „Wieś” nr 44 — „Wieś W. na społeczno-gospodarczej mapie wsi”; „Wieś” nr 46 — „Struktura klasowa wsi w XX wieku”.

3) Por. także analogiczne stwierdzenia Czarneckiego w „Podłożu ruchu chłopskiego” — w tomie „Społeczeństwo — kultura”.

4) Część zagona.

rami chyba musiałoby sobie własny kawałek pola zaościć, a pniałki z lasu to chyba taczakami przywieźć. W tym układzie stosunków na wsi W. w początkach XX wieku historia polityczna zaczęła się, rzecz jasna, od „Wienca i Pszczółki” i Kółka Rolniczego, do którego poszli kmiecie, by pod patronatem szlachty i Kościoła robić we wsi „ruch” we własnym kmiecio-kapitalistycznym interesie.

Tymczasem stopniowo do wsi W. powracali reemigranci z Ameryki. Niektórzy przecież wyjechali tam jeszcze przed rokiem 1900. Dwaj zwłaszcza z nich, oczywiście też kmiecie, ale tacy, którzy musieli jechać aż na drugą półkulę, aby uratować swą kmiećność zagrożoną podziałami rodzinnymi, pomnożyli wydanie siły miejscowego aktywu „kółkowego”, reprezentowanego dotąd przez zasiedziały kmiecie: jednego dwudziestopięcioletniego — piętnasto- i trzeciego — jedenastomorgowego. Kmiecie reemigranci, którzy przecież zwiedzili kawał „świata”, byli „na wozie i pod wozem”, nie mogli jakoś dopasować się do tej księżej sielanki. Złazłszy że jeden z nich, dorabiający się około roku 1907 znaczenia na terenie Kółka Rolniczego, przywódcę z Ameryki poglądy zgola wywrotowe w sprawach... religijnych. Nie tylko przestał być wiernym synem Kościoła katolickiego, ale nawet posuwał się do kwestionowania sensu wszelkiej religii. Stał się bojowym „heretykiem” czy też „lutrem”, tak go bowiem ochrzczili baby zorganizowane (a jakże) w „rózańcu”. Że ten niedowiarek osiągnął rozgłos przekraczający znacznie granice wsi W., świadczy fakt, iż sam ksiądz prałat z Łańcuta odwiedził go, ponawiając później kilkakrotnie swoje wizyty, które zapewne miały doprowadzić, jeżeli już nie do nawrócenia zbłąkanej owieczki, to przynaj-

mniej do zlokalizowania tej groźnej „zarazy”. Reemigranci pierwsi zaszczepiali we wsi W. ideologię świeckiej, liberalnej samodzielności. Przenikając do „kółkowej” elity szerzyli tam urok kapitalizmu. Rozbudowując swoje gospodarstwa za przywiezione z Ameryki dolary, stali się apostołami kapitalistycznej przedsiębiorczości. Oni to okazali się najbardziej wrażliwi na polityczne przywileje obszarników i klerikalne patronactwo. W tej atmosferze przyjął się we wsi około roku 1908 „Przyjaciel Ludu”, z którego do kmieci z W. przemówili: Stapiński i Witos. Złazłszy Witos zaczął sobie zyskiwać autorytet. Oto jak na przestrzeni kilku zaledwie lat kmiecia czołówka wsi W., zapóźniona w roku 1904 jeszcze o ćwierć wieku, błyskawicznie podciągnęła się. Jak podskoczyła do góry klasowo — polityczna świadomość kmieci z W.!

Gdzież jednak mogła się skierować kapitalistyczna ekspansja kmieci, skoro kmiecie rodziny miały duży przyrost naturalny, doprowadzający do rozdrabniania kmieciowych gospodarstw. Szła ona głównie w trzech kierunkach:

Po pierwsze — kmiecie rozrastali się wszędy i w ten sposób także średniackie rodziny pochodzące z kmieciowych wiązały się w polityczne rody, występujące solidarnie na terenie wsi i poza nią.

Po drugie — kmiecie uintensywniali swoją gospodarkę (od niezupełnie żelaznych plugów z r. 1900 do kieratu w r. 1910, to przecież postęp olbrzymi) i kierowali ją na bardziej zyskowne tory hodowli.

Po trzecie — próbowali posyłać dzieci do szkół i w ten sposób przenikali do miasta, do drobnomieszczaństwa. Ale i tu awans ich

był specyficznie galicyjski, nie podobny do analogicznych awansów na Zachodzie. Zaden nie został inżynierem i przedsiębiorcą. Nau-czyteli, księży, urzędnicy, oficerowie. I tu skok do inteligencji nie tracił tradycji stano-wych (inteligencja poszlachecka, „narodowa”, nie — przemysłowa).

W tym okresie, tj. przed pierwszą wojną światową, również biedota otrzymuje za-strzyki dolarowe od krewnych w Ameryce. Wśród biedoty poczyną rosnąć „mit parceli” mimo jej malenia. Jest to mit wyzwalaający z feudalizmu, już liberalistyczny. Nie mając możliwości przejść do przemysłu biedniacy poczynają żyć ambicją posiadania ziemi. Tej ziemi jest w stosunku do ludności coraz mniej, mimo to czepia się jej właśnie kurczowo idea kapitalistycznej własności, bo nie ma innego wyjścia w półkolonialnej Galicji.

Historyczny pochod wsi W. z feudalizmu w kapitalizm rozpoczęli więc kmiecie. Ow „ruch we wsi” był zdecydowanie kmiecio-kapitalistyczny w swej istotnej treści klasowej. Ale nie występował, rzecz jasna, pod klasowym sztandarem. Podobnie jak polityczny ruch francuskiej burżuazji w okresie Wielkiej Rewolucji (jeśli wolno tak różne skale zestawiać) głosił nie klasowe hasła, lecz powszechną, ogólnoludzką Wolność, Równość i Braterstwo. Ale realizacja tych powszechnych haseł dawała burżuazji klasową hegemonię.

„Bracia chłopie!” — wołali Stapiński i Witos, których przemówienia i artykuły w „Przyjacielu Ludu” rozpały serca i podniecały wyobraźnię „kółkowców” z W. To był apel do wszystkich chłopów niewątpliwie za-

interesowanych w likwidacji barier feudalnych, przywilejów i hegemonii obszarnictwa i kleru, mimo utajonej walki klasowej wewnątrz samej wsi. Apel do tzw. „warstwy chłopskiej”, na której obliczu kmiecie z W. wyciskali natychmiast swój klasowy stem-pel.

Charakterystyczny był we wsi W. odzew na rozłam w Polskim Stronnictwie Ludowym w roku 1913. Sympatie zdecydowanej większości kmieci były po stronie Witos. Natomiast kilku z owym amerykańskim „heretykiem” na czele poparło Stapińskiego, bo w Witosie (stuszenie) podejrzewali ugodowość wobec obszarników. Oni byli już bardziej zaawansowani w liberalno-kapitalistycznej ideologii i dlatego Witos wydawał im się zbyt konserwatywny. Ale dla zasiedziały kmieci i ich rodów zubożałych do poziomu średniaków Witos był prawidłowym, następnym etapem po ks. Stojałowskim. Witos to to, co głosiła broszura Bojki. A Stapiński? Jego już ks. Stojałowski pomawiał o przewroty socjalistyczne, jego właśnie po rozłamie w roku 1913 uderzył Witos oskarżeniem o trzymanie z „socjalistami i postępowcami” i nazwie tę drogę „unurzaniem w błocie” stronnictwa. Kmiecie, którzy na przestrzeni kilkunastu lat sfolgowali dawnym stosunkom patronackim, wchodząc w liberalno-kapitalistyczną organizację produkcji, w tym układzie stanęli w balce już z samymi echemi socjalizmu. Echa te niosły siłę rewolucyjną dziadom. Dopiero na tym etapie i jak na wsi W., pod hrabiowskim Łańcutem, dopiero... echa.

(c. d. n.)

Mieczysław Grad

A. Chmura

RZĄD LUBELSKI W 1918 R.

(Co pisała „Nowa Wieś” w r. 1935 o Rządzie Lubelskim w 17 rocznicę)

W 30 rocznicę Lubelskiego Rządu Ludowego przedrukujemy ocenę radykalnej „Nowej Wsi”, organu literatów ludowych z r. 1935. Jest ona zbyt jednostronna w krytyce i nabyła krótką w zasadzie, nienachalną, ale słuszną w głównej linii i ważną dziś dla uprzytomnienia czytelnikowi, w jakim stopniu rok 1918 nie powtórzył się w 1944 i 45 r. Na ile do-rzwała do rewolucji i prowadzenia Polski do socja-lizmu — klasa robotnicza i w sojuszu z nią chłopie.

W nocy z 7 na 8 listopada w roku 1918 ogłoszono w Lublinie Tymczasowy Ludowy Rząd Republiki Polskiej, na którego czele stanął Ignacy Daszyński.

„Nad skrwawioną i zniekaną ludzkością wschodzi zorza pokoju i wolności. W grzyby wala się rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących. Wszędzie lud pracujący dochodzi do władzy.”

Tymi słowami określił rząd lubelski w swej deklaracji skierowanej „do ludu polskiego, do robotników, włościan i żołnierzy polskich” ówczesne położenie polityczne. Światowa wojna imperialistyczna dogorywała pod ciosami wielkich wstrząsów rewolucyjnych, które nie zatrzymywały się na rubieżach starej Rosji, ale przetrwały się na Europę Środkową i kraje kolonialne. Na gruzach państwa carów zatknięty został sztandar władzy robotniczo-chłopskiej. W rok potem runęły trony pruskich Hohenzolernów i Habsburgów. Narody ucieszone przez trzy tyranie, które niegdyś rozszarpały Polskę, zdobywały niepodległość. Masy pracujące Niemiec, Polski, Węgier, Austrii itd. rwały się do władzy, aby zbudować nowy, sprawiedliwy ład społeczny.

Dziś owe wielkie wydarzenia polityczne należą do historii. Lecz łączą nas z nimi nie tylko nic żywych wspomnień starszego pokolenia. Odczuwamy i rozumiemy wszyscy, że nasza współczesna rzeczywistość wywodzi się w prostej linii z burzliwego okresu 1917—1919 roku. Rozstrzygało się wtedy zagadnienie: kto kogo zwycięży, lud reakcję, czy reakcja lud? Na wschodzie reakcja została wytrzebiona z korzeniami. Lud stał się tam gospodarzem na swojej, własnej ziemi i zbiorowym wysiłkiem wykwa dla siebie i przyszłych pokoleń nowe życie. Natomiast w kraju Europy Środkowej udało się jeszcze raz zatrumfować reakcję. Toczy się przez nie fala faszyzmu, tej najbardziej reakcyjnej dyktatury burżuazyjno-obszarniczej.

W chwili obecnej, gdy w Polsce rośnie pęd mas do walki przeciw reakcji i kapitalizmowi i coraz powszechniejsze jest wołanie w miastach i wsiach o rząd ludowy, jest na czasie przypomnienie i krytyczne oświetlenie roli lubelskiego rządu ludowego w dziejach ruchu wyzwolenczego polskich mas pracujących.

Wielomówiącym był już sam skład osobowy rządu lubelskiego. Oto on: Tomasz Arciszewski, Ignacy Daszyński, Medart Downarowicz, Gabriel Dubiel, Marian Malinowski, Jędrzej Moraczewski, Tomasz Nocznicki, Julian Poniatowski, Edward Rydz-Śmigły, Wacław Sieroszewski, Błażej Stolarski, Stanisław Thugutt i Bronisław Ziemięcki. Pod proklamacją rządu lubelskiego widniał również podpis Wincentego Witos, który jednak przez Polskie Biuro Korespondencyjne ogłosił, że podpis umieszczono bez jego wiedzy i że w skład tego rządu nie wchodzi.

Część członków rządu lubelskiego zajmuje dzisiaj czołowe stanowiska w obozie rządzą-

cym, bądź z tym obozem sympatyzuje. Rydz-Śmigły jest generalnym inspektorem sił zbrojnych, Poniatowski ministrem rolnictwa, Downarowicz był wiceprezydentem Warszawy, Malinowski, Sieroszewski zasiadają w elitarnym senacie, Moraczewski jest przywódcą sanacyjnych związków zawodowych Z.Z.Z., Stolarski należy do 15 zdradzieckich posłów ludowych itd. Dubiel jeszcze wcześniej znalazł się w sanacji.

Rząd lubelski był ludowy tylko z nazwy, w swych czynach był jednak antyludowy. Stwarzał on tylko pozory, że działa w interesie mas ludowych, w rzeczywistości kopął grób dla sprawy ludowej i ratował „walcę się w grzyby rządy kapitalistów, fabrykantów i obszarników, rządy militarne ucisku i społecznego wyzysku mas pracujących” (z proklamacji).

Na ziemiach Polski powstawały wówczas żywiłowo komitety robotnicze, chłopskie i folwarczne oraz milicja ludowa. Rząd lubelski nie umacniał tych organów ludowych, nie oparł się o nie jako o demokratyczne instytucje, które w swym dalszym rozwoju mogły wyprzeć stary aparat okupacko-biurokratyczny, stać się zarodem i podstawą chłopsko-robotniczej władzy demokratycznej. Gruntowne przeobrażenie administracji odkładał rząd lubelski na później, przyrzekając na papierze w proklamacji:

„po ukonstytuowaniu się ostatecznym przystąpimy natychmiast do reorganizacji na zasadach szczerze demokratycznych rad gminnych, sejmików powiatowych i samorządów miejskich, jak również organizowania po miastach i wsiach milicji ludowej...”

A więc najpierw miało nastąpić „ostateczne ukonstytuowanie się” rządu bez określenia terminu i warunków, w których ma to się stać, a potem dopiero „reorganizacja” rad gminnych itd. Nie apel do twórczej inicjatywy mas, nie wskazówka, jak niezwłocznie zlikwidować stary, odziedziczony po okupantach, aparat militarno-policyjny, ale obietnica na nieokreśloną przyszłość, za którą ukrywał się ostatecznie zakaz samodzielnej, idącej od mas demokracji. Obietnice nie ziszczyły się naturalnie, a milicję zastąpiła bardzo rychło policja, która likwidowała pod przymusem komitety ludowe.

Sprawa ziemi była drugim zagadnieniem zasadniczym, którym musiał się zająć rząd. Głośno wtedy było wołanie: ziemia chłopom bez wykupu! Chłop sądził, że nadeszła chwila, w której ziszczone zostanie odwieczne jego dążenie do ziemi, z której wywłaszczyła go obszarnicza szlachta. Rozpoczęły się pierwsze próby dzielenia ziemi obszarniczej przez chłopów i robotników rolnych. Partie chłopów do ziemi ma znaczenie nie tylko ekonomiczne. Obszarnictwo jest najbardziej reakcyjną, najbardziej pasożytniczą, najciemniejszą klasą społeczną. Radykalna, chłopska likwidacja obszarnictwa w 1918 r. osłabiłaby niezmiennie cały oboz przeciw-

ludowy, wzmocniłaby stokrotnie siły demokracji, dodałaby jej rozmachu i krępkę, nieugiętego oparcia na wsi.

Rząd lubelski przeciwstawił się najelementarniejszemu żądaniu demokratycznemu, nie dał chłopom ziemi obszarniczej bez wykupu.

Znów miały obietnice zastąpić realny czyn i uspokoić chłopów. Proklamacja głosiła:

„Na sejm ustawodawczy wniesiemy projekty następujących reform społecznych:

a) przymusowe wywłaszczenie i zniesienie wielkiej i średniej własności ziemskiej i oddanie jej w ręce ludu pracującego pod kontrolę państwa”.

Ani sejm ustawodawczy, ani sejm następne sprawy ziemi nie rozwiązały. Jest ona dziś jednym z najbardziej jęczących zagadnień społecznych w Polsce, a sytuacja w chwili obecnej jest taka, że 40 proc. ziemi należy do wielkiej własności, że obszarnicy są dziś głównym oparciem obozu sanacyjnego, że odrywają robaczywe grzyby średnio-wiecznej szlachetczyzny i wszystkie jej towarzyszące smory życia społecznego.

Zahamowanie pędu mas do ziemi obszarniczej jest w oczach ludu grzechem pierwotnym rządu lubelskiego, a głównym tytułem jego zasług wobec klas posiadających.

Rząd lubelski nie naruszył również interesów kapitału i nawet tak niezbędny, doraźny środek ukrócenia orgii wyzysku, jak konfiskata kapitałów powstałych w czasie wojny ze zbrodniczej spekulacji artykułami pierwszej potrzeby i dostaw dla wojska, został odłożony do uchwalenia przez Sejm ustawodawczy. Tak samo postąpił rząd z dążeniem robotników do kontroli nad produkcją, do opieki społecznej itd. Wszystko co dotyczyło najżywniejszych interesów ludu, co zgłotłoby siły reakcji, a wzmogłoby siły ludu, zostało odroczone do nieokreślonej przyszłości, do sejmu ustawodawczego.

Jeżeli z wielką opieszałością odnosił się rząd lubelski do najistotniejszych zadań demokratycznych ludu, to już dużą gorliwość wykazał wobec sprawy armii.

„Organizowanie regularnej armii ludowej uważamy za jedno z najpoważniejszych naszych zadań... Tworzenie tej armii wobec nieobecności Józefa Piłsudskiego, powierzamy jego zastępcy, pułkownikowi I Brygady Legionów polskich Edwardowi Rydzowi-Śmigłemu”.

Organizowanie regularnej armii, która poprzez szereg wojen wcielała w gnach państwa polskiego ziemię na wschód od Bugu i Niemna, a w 1920 r. maszerowała pod wodztwem Piłsudskiego i Rydz-Śmigłego aż hen za Dniepr — organizowanie tej armii było realnym, dotykającym dziełem rządu lubelskiego.

Powie ktoś może: jak można zarzucać rządowi lubelskiemu niedbałość w realizowaniu demokratycznych postulatów ludu, skoro ten rząd istniał zaledwie 4 dni, nie

miał więc po prostu czasu wcielić w życie swoich zamierzeń programowych, nie mógł więc praktycznie wykonać, że dochowa przysięgi, iż „sprawiedliwie ku dobru i pożytkowi ludu” będzie sprawował swą władzę państwową.

Otóż trzeba zwrócić uwagę, w jakich okolicznościach nastąpiła likwidacja rządu lubelskiego. Rząd ten uznał się od pierwszej chwili za centralny rząd całej Polski. W Lublinie miał on przebywać tylko przejściowo, aż do chwili obalenia arcyreakcyjnej Rady Regencyjnej w Warszawie, dzierżącej najwyższą władzę państwową z woli niemiecko-austriackich okupantów i przy poparciu obszarników i wielkiego przemysłu. Rząd lubelski w swej proklamacji z 7 listopada ogłosił:

„Rada Regencyjna, działająca na szkodę narodu polskiego, z dniem dzisiejszym z woli narodu polskiego przestaje istnieć. W razie gdyby Rada Regencyjna oraz rząd, przez nią stworzony, tej woli ludu polskiego nie chciały się poddać, ogłoszone będą za wyjęcie spod prawa. Sejganie i ujęcie w ręce naszych władz wykonawczych będzie obowiązkiem każdego obywatela państwa polskiego”.

Wydawałoby się z tych słów, że nędzny książęco-kardynalska Rada Regencyjna (w jej skład wchodził: arcybiskup Kakowski, książę Lubomirski i Ostrowski), a rządem lubelskim może trwać tylko nieustępliwa walka aż do upadłego. Było jednak inaczej. 11 listopada przybył do Warszawy brygadier Józef Piłsudski, zwolniony z twierdzy w Magdeburgu. Na dworcu został powitany przez regenta Lubomirskiego. Prezydent rządu lubelskiego, Daszyński, zjawił się w Warszawie i oddał swe stanowisko do dyspozycji Piłsudskiego. Jednocześnie Rada Regencyjna przekazała swą władzę dobro-wolnie w ręce Józefa Piłsudskiego, uzasadniając to swoje postanowienie groźnym niebezpieczeństwem zewnętrznym i wewnętrznym, tudzież płynącą stąd koniecznością ujednolajnienia wszelkich zarządzeń wojskowych i utrzymania porządku w kraju. W dekrete z 14 listopada podpisanym przez Józefa Piłsudskiego podkreślony jest zakaz przeprowadzenia głębokich zmian społecznych, które uchwalić może tylko Sejm Ustawodawczy.

Rząd lubelski od 11 listopada przestał istnieć. Rozwiązał się dobrowolnie ustępując miejsca nowej władzy utworzonej w porozumieniu z Radą Regencyjną, by przeciwstawić się groźącym niebezpieczeństwom wewnętrznym.

Te skromne swobody demokratyczne, jakie masy uzyskały w 1918 r. były ich własną zdobyczą, owocem ich własnych trudów i walk. Nie były one darem rządu lubelskiego, czy też następnego rządu centralnego w Warszawie. Zamiast oprzeć się bezpośrednio o najszersze warstwy pracujące, przeprowadzić głębokie zmiany gospodarcze i polityczne w interesie tych mas, ówczesni wodzowie ludu z różnych ugrupowań politycznych zbywali te masy radykalnymi frazesami, a jednocześnie konszachtowali z najczarniejszą reakcją.

Rok 1918 nie powtórzył się w Polsce. Lud nauczony doświadczeniami, 17 minionych lat dąży dziś w zwartych szeregach do takiego rządu ludowego, który naprawdę urzeczywistni jego wszystkie żądania.

FRASZKA

O wsi się słyszy najwięcej bzdur,
że twarzą do wsi, że rząd, że się zmieni;
a tam jak dawniej — ksiądz, dziedzic, wójt
a chłop? I owszem! U nich w kieszeni!

Stanisław Jerzy Lec

„Nowa Wieś” nr 6, r. 1935.

Władysław Strzemiński

REALIZM W MALARSTWIE

CZY NATURA JEST JEDNOZNACZNA I WYCZERPALNA?

Nie dające się rozłożyć i niepodzielne pierwiastki chemiczne, których liczba wzrasta ciągle jakby na przekór jednoci świata, okazują się dającymi się rozłożyć i podzielnymi (Lenin, Dzieła—wyd. IV ros. str. 238). „Uznanie istnienia jakichkolwiek niezmiennych pierwiastków, niezmiennych istoty rzeczy i t. d. nie jest materializmem, lecz metafizycznym, t. j. antydialektycznym materializmem” (tamże str. 246).



Antonio Pollaiuolo (1429–1498): Portret kobiety

„Podzielność atomu, jego niewyczerpalność, zmienność wszystkich form materii i jej ruchu były zawsze podstawą materializmu dialektycznego” (tamże str. 288).

„Myśl ludzka przenika coraz głębiej od zjawiska do istoty, od istoty pierwszego — powiedzmy — rzędu do istoty drugiego rzędu i t. d. bez końca” (Lenin, „Zeszyty filozoficzne” 1947 ros. str. 237).

„Istota rzeczy, czyli „Substancja” jest także względna, jest ona tylko wyrazem pogłębienia ludzkiego poznania przedmiotów; jeśli wczoraj pogłębienie to sięgało tylko atomu, a dziś dotarło do elektronu i eteru, to materializm dialektyczny ob staje przy czasowym, względnym, przybliżonym charakterze wszystkich tych drogowskazów poznania przyrody przez rozwijającą się naukę ludzką. Elektron jest w równym stopniu niewyczerpalny jak atom, natura jest nieskończona, ona jedna istnieje nieskończenie” (Lenin, Dzieła T. XIV str. 139).

„Materia ginie” — znaczy to, że ginie etap naszego dotychczasowego poznania materii, że nasze poznanie sięga głębiej. (Tamże str. 274).

Gdzież więc tu jest miejsce na 1) jednoznaczne „realne” określenie przedmiotu i 2) na absolut wyczerpalnej skończonej natury?

CZY REALIZM JEST JEDEN WIECZNY?

Realizm, wszystko jedno w jakim zakresie życia i kultury, jest zjawiskiem ukształtowanym przez rozwój historyczny. Byliśmy w błędzie, określając jeden raz na zawsze dany, niezmienny typ realizmu, obowiązujący dla wszystkich epok, jakiś absolut realizmu. Byłoby to sprzeczne z zasadą historycznego kształtowania się wszystkich elementów społecznych. Realizm tak samo narasta, ulega zmianom i przekształceń w toku procesu historycznego — zmienia treść — jak zmienia się każda treść w zmieniających warunkach historycznych. Nie ma jednego absolutnego realizmu, realizmu w ogóle, lecz istnieje konkretny realizm, uwarunkowany danymi konkretnymi stosunkami historycznymi. Ten sam realizm — w innych warunkach historycznych — przestaje być metodą ujawnienia rzeczywistości stając się środkiem — jej zakłamywaniem i maskowaniem. To zrozumienie względnej, historycznie uwarunkowanej formy każdego konkretnego realizmu — wyjaśni nam, dlaczego rzeczywistość każdej konkretnej formacji społecznej wyraża się tylko przez jeden konkretny, związany z nią, przez nią uwarunkowany typ realizmu.

Metoda dialektyczna w przeciwieństwie do metafizycznej nazywali Marks i Engels tylko metodą w socjologii, polegającą na tym, że społeczeństwo rozpatrywane jest jako żywy organizm, pozostający w ciągłym rozwoju (nie zaś jako coś mechanicznie sprężyniętego i umożliwiającego zatem, wszystkie dowolne kombinacje poszczególnych elementów społecznych); dla badania tego organizmu niezbędna jest obiektywna analiza stosunków produkcji, stanowiących daną formację społeczną, studiowanie praw jej funkcjonowania i rozwoju” (Lenin, Dzieła wybrane t. I, część I, str. 94–95).

W dużej mierze na ukształtowanie się antyhistorycznego pojęcia realizmu w sztuce zaważyły prace niemieckich historyków sztuki z drugiej połowy XIX wieku. Realizm obrazu oceniali oni na podstawie subiektywnego wczuwania się, czy jest on w dostatecznej mierze realistyczny — co ostatecznie dawało się sprowadzić do innego, ukrytego pytania: czy odpowiada on historycznie uwarunkowanemu kryteriom realizmu klasy, której wyrazicielem gustów estetycznych był dany profesor w danym konkretnym okresie historycznym. W ten sposób odbyło się zwykłe oszustwo historyczne. Pod szyldem jedyne go i najprawdziwszego realizmu wystąpił

Lecz na to się nie zdobyła społecznie uwarunkowana historia sztuki XIX wieku. I ta jej słabość również była historycznie uwarunkowana.

WIDZENIE XVI I XVII WIEKU

Na pograniczu w. XV i XVI odbyły się w malarstwie doniosłe przemiany. W obrazach poprzedniego okresu kształt każdego przedmiotu jest dokładnie obrysowany, odgraniczony i uwypuklony. Jest to widzenie; nastawione na dostrzeganie wszystkich zjawisk wzrokowych, uwypuklających trójwymiarowość, wypukły charakter bryły każdego wyodrębnionego przedmiotu. Każdy przedmiot występuje, jako odrębna, samodzielna jednostka. Realizm tego typu należałoby nazwać realizmem odrębnych samodzielnych przedmiotów brył.

W malarstwie XVI wieku rozpoczyna się, a w XVII w. dochodzi do rozkwitu, widzenie światłocieniowe. Cień staje się głównym środkiem wyrazu, kształtującym przedmiot. Cień zjawia się na wszystkich przedmiotach, zacieraając część konturów i podkreślając inne. Przedmiot posiada miejscami bardzo wyraźnie zaznaczoną granicę, miejscami zaś wtapia się w ciemne tło. Wszystko się wtapia i przeplata, wszystko się wynurza i zanika we wspólnej grze światłocienia. Tak ginie realizm odrębnych przedmiotów, wyraźnie wyrysowanych i dokładnie uwypuklonych trójwymiarowych brył, a na jego miejsce przychodzi realizm — już nie wyodrębnionych jednostek, lecz wtopionych we wspólną materię światłocienia i zależnych od światła i cienia, załamujących się na nich. Tak ginie jeden etap wzrokowego poznania świata, zastąpiony przez inny.

Zdawałoby się (dla nas, obecnie), że cień jest takim samym obiektywnym składnikiem widzenia, jak wszystkie inne, że używanie światłocienia jest czynem rozumiejącym się samo przez się, że nie ma nic naturalniejszego, niż odtwarzać na obrazie całą skomplikowaną grę światła i cienia i jego rozmaitych nasilen. Poglad ten nie jest jednak tak „naturalnym”. Został on historycznie ukształtowany na przełomie wieków XV i XVI.

Rzecz jasna — cień istniał zawsze. Lecz jeśli włączenie go w zakres świadomości wzrokowej nastąpiło na określonym etapie historycznym, świadczy to, że dopiero wówczas zaistniały warunki społeczne umożliwiające włączenie go w zakres doświadczeń wzrokowych, uznanie go za rzeczywistą realność widzenia.

Rzecz jasna — poprzedni malarze również dostrzegali istnienie cienia. Lecz ten cień zacierał kontury przedmiotów, rozbił ich dokładnie wyrysowaną odrębność, uniemożliwiał ich wydzielenie z otoczenia. Ten cień przeczył ówczesne pojmowanie istoty realizmu — realizmu odrębnych, niczym ze sobą nie powiązanych jednostek przedmiotowych. Stosowanie cienia (z punktu widzenia



Tintoretto (1518–1594): Pietà

Przyjmując tezę materializmu dialektycznego o nieskończoności rozwoju — musimy zbadać każdy z historycznie ukształtowanych i historycznie przemijających typów realizmu, wyjaśnić jego rzeczywistość, realną bazę wzrokową, zbadać jakie składniki rzeczywistości widzenia weszły w jego skład — jaka jest historyczna, klasowa geneza każdego z tych typów widzenia przesadzająca o uwzględnieniu takich a nie innych zjawisk wzrokowych i o odrzuceniu innych dostrzeżeń również realnych, również wzrokowych, lecz nie objętych w danym historycznym typie realizmu.

Lecz ta metoda — badania każdego z historycznie ukształtowanych typów realizmu, metoda określenia ich bazy doznań wzrokowych i świadomości wzrokowej — wymagałaby badań ścisłych i dokładnego naukowego określenia każdego poszczególnego składnika świadomości wzrokowej wchodzącego w skład widzenia danej epoki.

Należałoby operować konkretnymi, dającymi się sprawdzić, należałoby umieć widzieć, umieć operować bogatym i różnorodnym materiałem doznań wzrokowych — a jednocześnie wiedzieć, jakie doznania wzrokowe realizmu się poprzez te, a nie inne środki wyrazu formalnego. Dopiero ten materiał empiryczny, ujęty w metodę materializmu historycznego — da nam historię rozwoju widzenia, jako wyniku przemian następujących po sobie i klasowo uzasadnionych — poszczególnych typów realizmu. Wyrażanie realnych warunków bytu odbywa się poprzez realne narastanie elementów wzrokowych, uwarunkowane przekształcaniem się stosunków produkcji.

tego realizmu) odrealniało przedmioty, zacierało część ich granic i stapiając przedmiot (w cieniu) z tłem lub innym przedmiotem. W myśl realizmu XV-wiecznego realizmem prawdziwym było widzenie nieprzekraczalnej odrębności i oddzieleności przedmiotów. Realizmem prawdziwym było odtwarzanie tych cech, jakie posiadał sam przedmiot — jego wymiarów, kształtu, kolorów. Cień, który zaciera i odrealnia kształty przedmiotów, był rzeczą przypadkową, nie był elementem, charakteryzującym obiektywną istotę przedmiotu. Cień mógł padać z tej lub innej strony, mógł ukrywać te lub inne części przedmiotów. Mogło też cienia nie być wcale. Wszystko to miało nie zmieniać istoty przedmiotu, jako samodzielnej, zewsząd ograniczonej, dotykanej i sprawdzalnej bryły. Dlatego w pojęciu realizmu XV-wiecznego nie mieścił się element cienia. Zjawisko cienia było zjawiskiem odrealniającym, sprzecznym z dążeniem do prawdziwego obiektywnego ówczesnego realizmu.

I jeśli później zaszły zmiany w samym określeniu istoty realizmu, jeśli zrozumiano, że rzeczywistość nie jest zbiorem istniejących obok siebie i wzajemnie niezależnych przedmiotów, lecz istnieją pomiędzy nimi stosunki i powiązania, że całość stanowi pewną strukturę materialno-przedmiotową — oznacza to, że w stosunkach produkcji zaszły zmiany, które znalazły swój odpowiednik w zmianach kryteriów realizmu. Widzenie rzeczywistości uległo zmianie, ponieważ sama rzeczywistość przeistoczyła się w tym czasie.

Rozkład gospodarki naturalnej, rozwój kapitalizmu handlowego na bazie produkcji w manufakturach, ukształtowanie się dużych



Leonardo da Vinci (1425–1519): Mona Lisa

państw narodowych, wzrost miast, przejście do gospodarki folwaczno — pańszczyźnianej, splatanie się wielkiego rolnictwa z kapitalizmem handlowo-lichwiarskim, powstanie kampanii dla handlu zamorskiego — oto są zjawiska, jakie wpłynęły na przekształcenie kryteriów realizmu. Rozkład gospodarki naturalnej znalazł swój wyraz w rozkładzie dotychczasowej „naturalnej” jednoci i ograniczonosci przedmiotu — namalowanego na obrazie i rzecz charakterystyczna — malarstwo barokowe, malarstwo światłocieniowe, rozwinęło się najsilniej tam, gdzie aktywność nowopowstającej młodej burżuazji była największa — w Wenecji (Tycjan, Tintoretto, Veronese), w Belgii (Rubens) i w Niderlandach (Rembrandt). Rozmach tworzącego się wczesnego kapitalizmu znalazł swój wyraz w bujności malarstwa barokowego.

To przejście od średniowiecznej, zamkniętej, samowystarczalnej gospodarki naturalnej — do form wczesnokapitalistycznych, od jednostkowego zamówienia dla konkretnego klienta — do produkcji towarowej, od warsztatu cechowego — do produkcji w manufakturach, od zapłaty wyliczonej z rak do rak — do księgowości dużych obrotów wędrownych, od lady i kupca wędrownego — do kampanii kupieckich dla handlu zamorskiego (z własną flotą i własnym wojskiem) — te wszystkie przejścia utworzyły zmianę stosunków produkcji i umożliwiły dostrzeganie takich zjawisk wzrokowych, jakie w poprzednich stosunkach społecznych nie miały pokrycia w rzeczywistości otaczającej.

Tak, jak rozkładowi uległy poprzednie jednostki zamkniętej średniowiecznej gospodarki naturalnej — tak samo uległa rozkładowi sama koncepcja zamkniętych w sobie i odgraniczonych jednostek przedmiotowych. Widzenie rzeczywistości uwarunkowane nową, zmienioną strukturą stosunków klasowych — wyzwoliło realność nowych składników wzrokowych. Zginęła materia malarstwa dawnych czasów, składająca się z odosobnionych, oddzielnych przedmiotów. Nastąpił nowy etap widzenia materii jako struktury materialno — przedmiotowej, utworzonej przez stosunki i zależności — widzenie materii nowych czasów.

Lecz i jedno i drugie widzenie było realizmem. Realizmem klasowo uwarunkowanym i nastawionym na widzenie swojej odrębnej i niepowtarzalnej epoki historycznej. Każdy z tych realizmów ukształtowany w wyniku procesu historii, stanowi część żywego, współcześnie istniejącego organizmu społecznego i nie może być mechanicznie sprężynięty w dowolnych kombinacjach, gdyż wówczas, zamiast wyrażać swoją rzeczywistość — da zafałszowany obraz innej rzeczywistości. Realizm, należy do zrozumienia — jest nie absolutem, lecz narzędziem poznania.

(c. d. n.)



Rembrandt (1606–1669): Kapiąca się kobieta

Jan Baculewski

O KIERUNEK WYCHOWANIA

(Uwagi do dyskusji)

Kiedy chcemy określić zasady ideologiczne pracy naukowo - wychowawczej, musimy w pierwszym rzędzie wziąć pod uwagę **nowy etap** rozwojowy Polski Ludowej, która wchodzi na drogę budownictwa socjalistycznego. Ten moment wymaga, aby na wstępie stwierdzić, iż budownictwo socjalistyczne potrzebuje świadomości socjalistycznej i ustalenia na wszelkich drogach działania i wychowania zasad ideologicznych.

Wyliczmy najpierw te, które muszą być na tym etapie bezwzględnie już odrzucone. W pierwszym rzędzie musimy zerwać z tradycjonalizmem pedagogicznym.

1) Nie uznajemy **personalizmu**, który się je **niewiarę w masy i postępcy społeczny**, wysuwając kult **osobowości**, rozumiany jako **negacja zbiorowości**. Nie cenimy cnót, które hodować każe ta pedagogika, traktując je jako wielkie przymioty jednostek wyodrębniających się od mas i przez to izolujących się od społeczeństwa. **Personalizm** jest nam obcy jako koncepcja burżuazyjna i kapitalistyczna.

2) Nie wiążemy się z żadnymi teoriami **biologicznymi i eksperymentalnymi**, chociaż stoją za nimi takie autorytety pedagogiczne jak E. Claparede i M. Montessori. Wychowanie bowiem nasze nie może się ograniczać wyłącznie do opieki biologicznej i szacunku dla niezależnego rozwoju organicznego dziecka, przeczy to bowiem **istnieniu celowości wychowania**, a które odrzuca pedagogika eksperymentalna.

3) Wychowanie nasze nie jest również wyrazem **demoliberalnej pedagogiki** społecznej, z którą żyło się od końca w. XIX wielu pedagogów polskich. Albowiem w fundamentach tej pedagogiki spoczywają idee **solidaryzmu społecznego**, który fałszuje obraz rzeczywistych stosunków społecznych i pacy ideę walki klas.

4) Nie przyjmujemy również **teorii grup**, jako podstawowej formy wychowania zbiorowego, nawet gdy jest ona reprezentowana przez wybitnych naszych socjologów. Teoria ta bowiem głosi, iż społeczeństwa żyją w układach odosobnionych, że **grupa istnieje po to, by wydzielić się z reszty społeczeństwa**. Przeczy to prawom **integracji społecznej** i niezgodne jest z socjologią marksistowską, która odrzuca teorię grup, ukazując **wielkie ruchy masowe**, obejmujące całe klasy społeczne, a poprzez więź i solidarność proletariatu światowego — całą ludzkość. My uznajemy wychowanie klasowe i poddajemy się rygorom pedagogiki socjalistycznej. Założenia jej tkwią w ogólnej teorii naukowego socjalizmu. Jest ona zgodna z ideologią klasową i praktyką socjalistyczną. Jej dyrektywy przebiegają równoległe do linii rozwojowej Polski Ludowej. Wychowanie socjalistyczne jest dla nas teorią przekształcenia ideologii ludowej na proletariacką świadomość rewolucyjną; jest teorią **zadań i przysposobień** do budownictwa socjalistycznego. Kształtując bojowników o nowy ustrój społeczny pedagogika socjalistyczna uczy socjalistycznego myślenia i wdraża do klasowych form życia.

Ogólne założenia teoretyczne określają wytyczne postępowania wychowującego i nauczającego. Pragniemy kształcić młode pokolenie jako świadome zbiorowych zadań, zdyscyplinowane, mężne i ofiarne. Ale cechy te rozumiemy jako wyraz postawy ideowej i sposób zachowania się w **określonych warunkach społecznych**, a nie zespół cnót hodowanych jako dyspozycje intelektualne i psychiczne bez społecznego i funkcjonalnego ich zdeteminowania.

Określone warunki społeczne — to sytuacja po rewolucji, którą przeprowadziła klasa robotnicza w przymierzu ze wsią, spełniając jej stuletnie marzenia — oddała ziemię w ręce chłopów. — To sytuacja po rewolucji, kiedy masy drobnorolnego i średniego chłopstwa przekonały się (po 3-ech latach), że Reforma Rolna nie mogła zakończyć ich biedy i wyzysku. Odsłania się przed nimi masami wyzysk niższego i bliższego, miejscowego pięt — kapitalistów wiejskich i odsłania źródło biedy w podstawie systemu gospodarczego na wsi: w drobno-towarowej produkcji indywidualnej. Ta sytuacja, to nowy etap wjzania przez klasę robotniczą mas drobnorolnych wsi z rozwojem wielkiego przemysłu socjalistycznego, otwieranie dla nich nowych dróg do lepszego jutra i do wrastania w socjalizm.

Ta przebudowa postawi w zupełnie innej sytuacji społecznej młode pokolenie chłopskie, zamknięte dotychczas w roz-

drobnionych przez dziedziczenie gospodarstw rodzinnych lub sprostetyzowanych przez brak ziemi. Stanie ono wobec zwiększenia produktywności rolnej i mechanizacji środków uprawy, będzie musiało podjąć się nowych zadań w zakresie przygotowania się do nowej organizacji społecznej wsi i nowej pracy. Wejście w przemysł rolny, w zawody agro- i zootechniczne, przygotowanie do funkcji techników, traktorzystów i agronomów społecznych — oto nowe funkcje i nowe zadania młodego pokolenia chłopskiego, które zostanie wyrwane z dotychczasowego zastoju wsi i pchnięte do twórczej roli przebudowy gospodarki rolnej.

Ale dlatego świadomość młodego pokolenia musi być zbudowana na naukowych

podstawach, które winny wdrażać do myślenia ujmowania wszelkiej obiektywnej rzeczywistości. Wykształcenie, które daje my, musi na poziomie szkolnym odpowiadać współczesnemu stanowi nauki i jednocześnie ukazywać i przygotowywać do społecznych konsekwencji rozwoju nauk, tj. do ich technicznych zastosowań. Wykształcenie najcelowsze to wykształcenie najbardziej poprawne naukowo i wartościowe teoretycznie a równocześnie jak najbardziej owocne społecznie.

Patrzac z tego stanowiska na działalność szkolną musimy ukazać tradycjonalistyczne elementy, tkwiące w średniej szkole ogólnokształcącej, która wykazuje **bierność społeczną, nieprzydatność techniczną dla masowych potrzeb gospo-**

darki i życia społecznego. Praktyka organizacyjna nowej wsi musi poddać rewizji zarówno taki program jednostronnie ogólnokształcący, jak i metody wychowawcze. Błędem wychowawczym średniej szkoły był i jest niedostateczny nacisk na wychowanie przez organizację młodzieżowe. Istniały one wprawdzie w szkołach, ale w technice wychowawczej nie odgrywały rewolucyjnej roli, jaka im przypada. Młodzieży nie możemy traktować jako tylko przedmiot zabiegów wychowawczych. Istnieje ona nie tylko w szkole. Kategorie socjologiczne wyznaczają jej konkretne miejsce w rozwoju społecznym, a praktyka socjalistyczna każe widzieć w niej olbrzymi zespół sił rewolucyjnych, spełniających określone zadania w przebudowie ustroju. Nową pedagogikę określa nowa technika wychowawcza, która nie istnieje bez podstawowej roli organizacji młodzieżowych w systemie wychowania.

Wprowadzając pojęcie nowej szkoły, musimy rozumieć ją zarówno przez nową technikę jak i specyficzną problematykę. Jednym z tych specyficznych problemów jest zagadnienie **pracy i politehnizacji** wykształcenia. Zagadnienia te w zastosowaniu do szkoły są trudne i nie znalazły dotychczas ostatecznego rozwiązania nawet w przebogatej teorii i praktyce pedagogiki radzieckiej. Nie mniej kilka spraw wydaje się całkowicie wyjaśnionych. Mianowicie:

Kształcenie polityczne można m. in. roku mieć jako kształcenie zawodowe, ale w ten sposób, jak to zostało określone przez Karola Marksa w „Krytyce programu gotajskiego”, gdzie się je rozumie jako jeden z **najpotężniejszych środków przebudowy ustroju społecznego**. Pojęcie zawodu zbiega się tu ze znaczeniem **pracy jako źródła produktów i stosunków produkcyjnych**, określających etapy rozwoju gospodarczego. Nie idzie więc o kramikarstwo warsztatowe, ani mistrzowską obróbkę sztuki kamazniczej czy stolarskiej. Idzie o wielkie procesy produkcyjno-ekonomiczne w miastach i na wsi. Z nimi musi być przede wszystkim związane szkolnictwo zawodowe. Praktyka organizacyjna nowej wsi winna objąć swoim zasięgiem szkoły przemysłowe, szkoły zawodowe i rolnicze, kształtujące fabryczny i wiejski aktyw: dynamiczną siłę w walce o realizację budownictwa socjalistycznego.

W wychowaniu trzeba precyzować rygory techniczne. Istnieje zasadnicza różnica między wychowaniem socjalistycznym a mieszczańskim. Trzeba należycie ustawić procesy wychowawcze, by młode pokolenie nie znalazło się na skrzyżowaniu różnych wpływów wychowawczych. Staje się to jednak konkretnym niebezpieczeństwem w tych środowiskach, gdzie niejednokrotnie postępową postawą polityczną rodziców nie idzie w parze z socjalistycznym wychowaniem.

Z tego konfliktu wyłania się trudne zagadnienie oddziaływania wychowawczego rodziny. W pełni doceniamy twórczą i niezastąpioną rolę rodziny w pierwszym okresie wychowania dziecka. Nie chcemy ingerować w ambicję i możliwości wychowawcze rodziców.

Jednakże zasady jednolitego oddziaływania wychowawczego na młodzież wymagają wywierania wpływu na praktykę wychowawczą rodziców. Tylko na tej drodze uchronimy dziecko od kolizji, jaka istnieje między wpływem rodziny i instytucją wychowawczą. Jednym z koniecznych zadań musi być **podjęcie współpracy między domem a szkołą** celem zapewnienia wpływu na praktykę wychowawczą rodziny.

Pomoże nam w tym dojrzała sytuacja historyczna klasy robotniczej inteligentkiej i chłopskiej. Na terenie wsi wraz z rozwojem kapitalizmu rozwijał się nieubłagany konflikt między rodziną chłopską a parcelą. (patrz J. A. Króla: „Przyszłość rodziny chłopskiej” Wied-40-41). Dla wielu członków rodziny parcela już nie wystarcza, nie wystarcza taka gospodarka parcelowa. Jak i z czego mają żyć i wykarmić dzieci? Nikt inny bardziej niż rodzina chłopska nie jest w tym zainteresowany. Ciężar odpowiedzialności, jaki ją przyniata, przybliża ją coraz bardziej, po sprawdzeniach i przemyśleniach wielu środków i dróg do nas — pedagogów nowej, Ludowej Polski. Ukazujemy przyszłość dla mas młodzieży chłopskiej. Szkolimy do opanowania przez nią tej przyszłości.

Andrzej Braun

WYSPA WOŁYŃ

Wieczór tkwił zaplątany w gotyckich kościołach ażurowe wieżyczki. Wzywano do stołu. Po arkadach hotelu zaplakały gongi wzdychając tylko świerki tkwiły jak posagi tam nad brzegiem, gdzie chłopki chichotały bosc gdzie prom przewoził wozy i kmię ostrzył kosę. Komary srebrną rzeszą nuciły nieszpory — Słońce jak pawie pióra gubiło kolory na plaży. Tam zatoka. Żagle z cynamonu rumienia się ostatnim żarem nieboskłonu. Jak we śnie na wołyńskich łakach pachnie siano, które uschnąć nie może, zalewane pianą. Milicjant uroczysty opiera o rower pierś z odznaką pioniera. Morze łśni perłowe. Parowiec ze Szczecina, zrosnięty na wodzie z odwróconym odbiciem powraca jak codzień dźwigając warkocz dymu, czarny warkocz ruski. Już orkiestra na molo gra, migoczą chustki. Marynarze na wiwat strzelają wśród sosen ukraińskie piosenki nucąc śpiwnym głosem. Wyspa jak odwrócona twarz dziewczyny w studni wstydzi się swego piękna na lustrze zatoki. Wołyń — szepece latarnia — zapomnieć najtrudniej, gdy wędrują z wspomnieniem ze wschodu obłoki.

DZIEWCZYNA

Nie zwracała uwagi, biegnąc pod kasztany choć byłem i bogatym i dobrze ubranym — śmiała się patrzeć w kwiaty wzrokiem lunatyka a słońce na jej rzesach błyszczało jak mika. Mówiłem piękne słowa drząc, że wnet ją spłoszę tę dziewczynę z stołówki, co zarabiała grosze (chyba, że kradła jak inne, w co jednak ja nie wierzę). Mogłem ją zabrać w różne piękne miejsca, kupować rzeczy kosztowne, jak w filmie (poza to jest przyjemnie mieć chłopca z lepszej sfery). Gdy sprzątnęła talerze, pod fabrykę „Profit” biegła, a chłodna duma ostrzyła jej profil mijając niecierpliwie, gdy zastąpił drogę tam witała farbiarza — i niknąc za rogami jak szprychy migotały stopy u falbany. — Trzymając się za ręce, biegli pod kasztany.

MŁODOŚĆ

Stary fryzjer, Konstanty! Główni na wystawie. Niemożne loki peruk oglądam ciekawie jak w parku staroświecki z fin-de-siècle'u posąg, dziwiąc się uczesaniu, jak on siwym włosom. Czas mija jego zakład, zabiera klientów, czas niby wiatr potrąca mosiężne talerze... Lustra z chłopięcą twarzą! ileż sentymentu budzą stare fryzjerie i śmieszni balwierze. Konstanty miał przyjaciół. Grywał z nimi w wista gdy wchodziłem, powszechniak, czy gimnazjalista. Każdy ma w swoim życiu takiego fryzjera który strzyże na zero, po mesku, a teraz podcina włosy dziecku i najtaniej bierze. Bądźmy uczciwi. Ci młodzi są nieuprzejmi narazie, doliczają za puder, ziewają z drewnianą twarzą — wspominam kitel błękitny, rzemień i rurki na gazie, czumi kolońska, oczom tryumfy się marzą — Stary fryzjer cesał kiedyś wybitne osoby Smosarską i inne gwiazdy (ma nawet fotografie a na nich słowa uznania dla kunsztu młodego fryzjera), czas powraca jak pamięć sprzed długiej choroby, w minione piękno sztywne peruki ubiera. Gdy mnie goli uważnie, wspomina panią Smosarską, potem kłania się nisko wkładając mi palto (zawsze się tego wstydzę). Wyciąga dłoń po napiwek — ten mu pozostał odruch z najlepszych lat młodości.

Teodor Goździkiewicz

Ilustr. Karol Baraniecki

CZTERY DNI MATEUSZA^{*)}

W cieniu kilku sliw rosnących przy płocie, oddzielającym sadek od podwórka u Gajków, leżały okrągłaki świerkowe. Były to bale zmagazynowane przy różnych okazjach, ale bez ścisłego przeznaczenia. Przy ich przypadkowej zwłoce, kierowano się gospodarską zasadą, wszelkiego przypadku określoną słowami „przyda się”. Ale przechodziły miesiące i lata, a bale leżały: oblażyły z kory, pod którą korniki potoczyły swoje korytarze w kształcie grzebieni, szczytniały na deszczach i czekały jakiegoś skutku.

Najczęściej służyły za miejsce siedzenia podczas krótkich chwil poobiedniego wypoczynku, albo niedzielnego pilnowania obejścia. Siadało się wyżej lub niżej, ale obowiązkowo z łokciami na kolanach. Tak było najwygodniej.

Tu siedział stary Gajek ze Staśkiem po obiedzie w południe i tu ich zastał Mateusz. Był nawskroś uroczy. Ubranie jego co prawda nie odpowiadało wymogom całkowitej gali, jednak posiadało cząstki elementów oficjalnych. Do swoich bowiem nieobesztych pasieczków i białego kaszkietu z bącznikiem, włożył zwykłą, cągową marynarkę. Ponad wszystko jednak najbardziej wymowna była mina, z jaką siedział, rozmawiał z gospodarzami i czesał ich machorką. Od razu można było poznać postać, osobę godną, która na chłopięce podwórko może wejść tylko w roli specjalnego wysłannika, spełniającego misję wyższego rzędu. Co do tego nie mogło być wątpliwości, a już nie wolno było jej mieć gospodarzom.

Mateusz był uroczy, powściągliwy, mówił mało i tylko na główny temat. Żadnych tam „co słycać u was?”, żadnych „co robicie?”, czy „co zamierzacie robić?”. Byłoby to wyraźne obniżenie jego godności poselskiej, osoby z innego, wyższego świata. Cedził słowa, kiedy mówił:

— Dziedzic tu mnie do was przysłał, osobliwie do ciebie Staśkie, żebyś tam do niego poszedł...

Był tak nadziany powagą, że zupełnie nie zważał na słowny wybrak Staśki:

— Ja, do niego? Do dziedzica?

Mateusz palł papierosa w milczeniu i chciał dać do poznania, że mimo, iż jest foszpanem w Lipnicy u samego dziedzica Obrzyńskiego, pozwolił sobie, wobec nich na dwa stopnie karygodnego obniżenia powagi swojej funkcji: pierwsze — usiadł na balach, drugie — zapalił z nimi papierosa. Słowa zaś Gajki, noszące wszystkie cechy porywczosci, skłony był zakwalifikować jako trzeci zamach na jego osobę. O ile tamte mógł jakoś strawić, jako pochodzące od niego (sam się skazał na to), o tyle sposób wystąpienia Staśki uważał wprost za oburzający. Zmarszczywszy twarz, zwał szpary oczne i w takim upokorzeniu cech zewnętrznych cedził:

— Nie wiem... Coś ta pewnie do was ma...

Ich zainteresowanie połączone z zakłopotaniem przyjął za zamaskowaną radość. Był to niechybny znak, że taktyka jego została dobrana właściwie i wszystko jest na dobrej drodze. Cóż się ma bo z nimi ceregielować? Cóż taki Gajek — dokupujący kartofli na przedwiośnie we dworze — jest? Ludzie na wsi są gorsi i lepsi, jak plewy i ziarno — dmuchiesz: plewy wyfruną, a ziarno zostanie. Gajek bez wątpienia nie należy do ziaren, Mateusz dobrze o tym wie. Okolicę zna jak nikt...

Staśkie był całkowicie tym zaproszeniem zaskoczony i nie domyślał się zupełnie, co by ono mogło znaczyć. Stary Gajek zaś, który przez sprawki syna miał niejedną przykrość i stratę, wietrzył w tym raczej coś niemiłego. Już tam jego synalek pewno coś znajdował: myślał z niepokojem. Ale skądinąd narzucało się myśli, że wobec jakiegoś przestępstwa dziedzic by go do siebie nie wolał: coż tedy mogłoby to być? Obaj pełni rozterki zaczęli molestować rzadkiego wysłannika, co by to wszystko mogło oznaczać.



Mateusz widząc ich niepokoje, a chcąc go jeszcze więcej spotęgować odpowiedział:

— Nie wiem...

Słowa jego miały jednak tę charakterystyczną barwę, która mówiła, że pod pozorem niewiedzy foszpan doskonale jest o wszystkim poinformowany, tylko jego godność i brak specjalnego upoważnienia od mocodawcy nakazuje mu trzymać język za zębami, — że wypowiedzieć swoje przypuszczenia czy ujawnić cel posłowania, wskazany jasno, może na pewnych warunkach tylko — jako wielki fawor z dziedziny ich dalekiego współzycia.

^{*)} Z powieści pt. „Lipnicki świat”, która ukazuje się w druku nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Wiedza”, w Warszawie.

Spojrzał przelotnie po swoich rozmówcach. Młody miał twarz zagadkową, stary coś takiego w spuszczonej wasach i minie zatroskanej twarzy, że Mateusz się uśmiechnął. Uznał, że dobrze jest, bo przecież chowa dla nich nowinę dobrą, więc niech się tam cokolwiek potrafią. Tym bardziej później się uciesza, im bardziej teraz napędzi im stracha. Więc na ich nalegania odpowiadał:

— Jak to dziedzic... Zawsze do chłopów coś ma...

I znowu po tych słowach nałożył maskę tajemniczości, trzymając ich w napięciu.

Wreszcie gospodarze uznali, że w tym okresie walki należy im również przejść do systemu gry, w której trzeba i z ich strony coś postawić. Na początek więc postawili pochlebstwo.

— Jak to może być — zaczął z nagłą natarczywie stary Gajek, — że wy Mateuszu, co

razem z dziedzicem jeździcie, gadacie z nim i wiadomo, że blisko z nim życie — żebyście nie wiedzieli, co od nas chce? To niepodobne do wiary! Przecież wy wiecie wszystko, co się dzieje we dworze... A takiego głupstwa być nie wiedzieli?

— Nie... Nie wiem. Dziedzic mi nie mówił.

Dopiero teraz zauważyli ścisłość jego wyrażenia: „dziedzic mi nie mówił”. Nie omieszkał tego wykorzystać od ręki.

Mówi Staśkie.

— Tak, to prawda, to możliwe, że wam dziedzic nie mówił, ale przecie można wiedzieć, o co chodzi, bo można się domyśleć... Nie domyślcie się, o co idzie? Dla takiego biegłego człowieka, jak wy, to co to znaczy!... — przypochlebnie dokończył Staśkie.

Teraz dopiero Mateusz uznał za stosowne zejść z piedestału dworskiej oficjalności.

Wymaganiom jego stało się zadość, więc można tym chłopom „uchylić rąbką tajemnicy” i coś nie coś powiedzieć. Wypluł koniurszek papierosa przed siebie, przydepnął go wyciągniętą nogą, dostawił ją znowu dla symetrii z drugą i zaczął powoli mówić. Wahał się, zastrzegł, domyślał tylko i cofał, ale mówił przecie wyraźne rzeczy i Gajkowie wdziewali mu byli i za to.

— Widzicie, nie wiem na pewno, ale tak się tylko domyślam... To mówię z góry, chcęcie — wierzyć, chcęcie — nie wierzyć. Ale tak jest. U nas, we dworze, jak wiecie, jest nad wszystkim dziedzic, bo to jego, ale ma jeszcze radcę od pola i pisarza od podwórza.

Oto widzicie, tak jest, że pisarz dobry człowiek, ale już stary, a tu w podwórzu trza chodzić: od spichrza do stajni, od stajni do stodoły, od stodoły do ogrodnika. I tak cały dzień w kółko. Nogi trzeba mieć dobre. A pisarz stary, już nie może nadążyć, asznie ma, zasapie się, zaślini, aż i nieraz dziedzica złości.

Przerwał na chwilę, ale już po tych słowach gospodarzom zaczęło świtać w głowie.

— Więc nie wiem na pewno, ale się domyślam, że dziedzic potrzebuje pomocnika dla starego. Tu by go trzeba wyręczyć, tu pomóc, tu pojechać, tu zarządzić... o, to — rozumiecie... Pensja byłaby jaka taka, ordynaria tak samo, a jakby się taki pomocnik wprawił w pisanie, w zarządzanie, to potem mógłby i pisarzem zostać... To się rozumie. Stary już słaby, niedługo pochodzi i albo umrze albo go zwolnią. Nie wiadomo jak długo poczagnie... Robota jest ciężka i trzeba do niej dobrego zdrowia. A Staśkie chodźcie może — dodał z uznaniem.

Mateusz pozblił się tajemnicy i razem z nią sztywną, oficjalną miną.

— Tylko jakby co z tego było — rzekł dalej — to by trzeba się było starać, zabiegać, bo przecież dworskie podwórko to nie chłopskie.

W słowach Mateusza brzmia surowość, jak przystało na człowieka, który posiadał zdolność relatywnego widzenia wartości tego świata — świata, który jest niedoskonały.

2.

Mateusz odwiózł dzisiaj pana na zebranie, wysadził przed spółdzielnią, a dowiedział się, że ma na niego nie czekać, zawrócił brykę, przesiadł się na drugie, uroczyste siedzenie, zdjął ciężką, ceratową czapkę, otarł czoło i poczuł się swobodniejszy.

Puścił konie luzno, bo było gorąco. Lubili ten czas — takiego beztroskiego powrotu. Poczuł zupełny brak kontroli upajało go nie na żarty. Rozwalił się na siedzeniu, ręce rozkładał wzdłuż poręczy i czuł, że w taki upał jechać bryczką po drodze nie należy do rzeczy najgorszych.

Minał ostatnie domki Dorzecza, minął pola i znalazł się na grobelce, która między takimi prowadziła do mostu. Najchętniej by się wykapał, ale obawa pozostawienia koni z bryką na drodze bez dozoru okazała się silniejsza, niż chęć obmycia spoconego ciała wodą. Jeszcze gorzej by było, gdyby zjechał z drogi i konie zatrzymał w chłopskiej łacie.

A więc nic z tego — nie zatrzyma się nigdzie — zatem mimo wszystko wróci i jeszcze musi napewno dzisiaj jechać na pole po koniczyne dla zrebaków. A tak się świetnie zapowiadało z tym wyjazdem! Pisarz to widział i najprawdopodobniej obarczyłby przywózką kogoś oderwanego od innej roboty.

Leniwie medytując o tych sprawach wjechał między kopy wklęsłych obrastających grobelkę, która prowadziła prosto na most. Więc przejeżdżał ten most — medytował — tamta grobelkę pastwiska, tamto pole, a potem już dworskie...

— Mateuszu! Mateuszu!

Spojrzał Mateusz wzdłuż rzeki w lewo: od zakrętu szedł ku niemu Spychała. Mateusz nie lubił tego chłopca. Słaby na jedno oko, z szeroką blizną na policzku, był zawsze brudny, rzadko kiedy ogolony i zawsze obdarty. Wywierał na niego przykre wrażenie.

Miał mu coś odkrzyknąć i jechać dalej, ale porównawszy w myśli ten swój wczesny powrót i konieczne roboty w podwórzu z postaniem tu nad rzeką, choćby tylko ze Spychałą, wybrał to drugie. Niech będzie, co chce — woli już tego Spychała, niż dworskie podwórko. Tam jeszcze goręcej, a robić trzeba.

Wstrzymał konie, Spychała doszedł, przywitali się.

— Mateuszu — zaczął ślepy rybak — może rybke? co? Mam ładną rapę...

Mateusz wiedział, że tam żadnej rapy nie ma, najwyżej trochę bielicy, no, ale to byłoby za mało na powód do zatrzymania go. Wiedział, że za tym wszystkim chodzi o co innego, ale zapytał:

— Ile za tę rapę?

— Złotówkę... bardzo ładna naprawdę rapa — wyrzekł szybko Spychała.

— Ile? Złotówkę? Jak ja groszem nie śmierzę? Coś się drożycie?

Spychała powtórzył swoje:

— Bardzo ładna rapa... bardzo ładna... Pokazać?



Coś ten Spychała nadto przyciska go do ściany. A może naprawdę co ma? Mateusz zwątpił w prawdziwość swoich przewidywań. Przecież nie kupi — dopuści do pokazania i co z tego? Bądź co bądź, chociaż ma i w takim wypadku wiele dróg odwrotu, będzie cokolwiek skompromitowany. Patrzy w jedno oko rybaka, w bliźnię ścigającą jego policzek i powoli medytuje, czy za tym wszystkim jest jeszcze co innego, czy nie jest?

— Nie... nie. Nie mam pieniędzy! — broni się już serio.

Więc Spychała wyraża żal z tego powodu, że on, Mateusz, nie chce kupić takiej ładnej rapy i milknie na chwilę, jakby zbierał myśl po tej niefortunnej propozycji, a Mateusz patrzy po nim. Rybak ma tę samą lśniącą koszulę popstrzoną przez muchy i pchły, na niej podartą kamizelkę, a na nogach spodnie zwinięte w pół kolan. Stopy wiecznie ubrudzone w mule rzecznym zachowały wilgotność nabytą w przybrzeżnym zielsku. Stara, wysłużona cyklistówka przewieszona mu się na jedno ucho na znak zupełnego bezkrólewia w stanie jego garderoby.

— Machorkę macie?

Spychała zapytał o to dość niespodzianie, ale i tak Mateusz przecież wiedział, że w tym wszystkim o nią chodziło — cała gra była po to tylko. — Więc docenia swoją rolę obdylacza, wolno, bez pośpiechu mówi, jakby celowo tamtego skazując na mekę niepewności:

— Machorkę, mówicie? — robi długą pauzę — mam... — kończy nareszcie.

— Dajcie zapalić! — słycał już gorączkę narkomana w głosie Spychały.

Ale Mateuszowi to za mało. Co to znaczy tak tapu-capu? Rybak musi mu zapłacić. Ale czym? Co on ma do zapłaty? W stosunku do niego, pańskiego foszpana, Spychała jest niczym. Więc niech mu przynajmniej zapłaci niecierpliwością. Drażni zatem tamtego swoim spokojem, swoim odwiekaniem:

— Eee, sam mam mało. Może na jednego papierosa...

— Dajcie, dajcie!

Mateusz widzi, że blade wargi Spychały latają jakimś żalosnym skurczem, jak u dziecka, któremu się na plac zbiera — dalej już nie bawi się. Zdejmując ręce z oparcia, wyciąga z lewej kieszeni pudełko po paczcie „Dobrolin” razem z książeczką bibułki, odsupłuje okładkę, dmucha w całość, oddziela jeden zwitek i wyrzuca go palcami. Potem te same ceregiele stroi z pudełkiem od machorki. Każdy ruch przy otwieraniu, samo nabranie szczypty tytoniu, ułożenie go w żłobku ze zgietej bibułki i skrócenie w wałek łącznie z poślinieniem — są to ruchy wystudiowane do najdrobniejszego szczegółu dzięki powtarzaniu ich niezliczoną ilość razy od wczesnej, chłopięcej młodości.

Potem to samo robią drżące ręce Spychały.

— Bibułka nie „Społem”? — pyta rybak.

— Nie, „Solal”. — wyjaśnia Mateusz — „Społem” za rzadka.

— Jaka? — nie dowierza sobie Spychała.

— Za rzadka — powtarza wyrozumiale Mateusz — ciągniesz, ciągniesz i nic z tego.

Wszystko ucieka bokiem. Ja wiem, na pewno.

— A może — zachwiał się we własnych przekonaniach Spychała, nie wypadało mu bowiem znowu tak twardo przy swoim obstawać: jeśli korzystasz z kogoś, to musisz schować własne trzy grosze.

— Gdzie kupujecie? — zagadał.

— W Trawnickach. Tam w sklepie wysyscy od nas kupują, bo tam bliżej. W niedzielę się co prawda chodzi do kościoła do was, ale spółdzielnia wtedy zamknięta. Też trzeba iść do prywatnego. — tłumaczył Mateusz — i co za różnica? Zresztą wy na dworaków patrzeliście krzywo u siebie... Ile kosztuje u was książeczka bibułki?

— Pięć groszy — objaśnił Spychała.

— O, a u nas sześć...

Mateusz się lekko zastanowił. Co on, ten rybak, mówił? Jeżeli prawdę powiedział, to każde pięć książeczek dają jedną darmo? Niemożliwe!

— Ile kartek? — zapytał, aby cymkolwiek osłabić pozycję przeciwnika.

— Dwadzieścia pięć... — zapewnił go uroczyście rybak.

— I u nas dwadzieścia pięć — a po chwili korzystając z okazji postawił na swoim — tylko, że wasza rzadka... O, to jest, widzicie, ważne!

Konie tupią kopytami, szastają ogonami na boki i między nogi, podzucają łbami: gonią czerwcowe, namolne baki. Szare, zwinnne owady atakują wszędzie: grzbiety, brzuchy koni, które się niecierpliwią. Mateusz uznaje, że trzeba jednak jechać. Koniec końców stracił jednego papierosa. Więc potrzasa lejami i rusza powoli zostawiając nad rzeką samego Spychała.

Ten poczekaj zmruku. Obejrzy jeszcze wędki, o tej porze bierze szczupak na żywca, a potem w ciemności ruszy. Widział gdzieś taką ładną wykę przy łące...

Mateusz waleśający się po podwórzu bez wyraźnej roboty natknął się na administratora, Dworską wielkość — po odważeniu dwu metrów ziemniaków Cieślakowi — sprawdzała podwórko i nie omieszkała zaczepić marnującą się siłę roboczą Lipnicy.

— Mateusz by mógł zaprząć cugowe i zwozić w balch drabinkach tę białą koniczyne spod chłopskich działów... Nie czekać na fornali.

— Jakże ja pojedę, panie rzadco, po koniczyne — broni się Mateusz — jak muszę wysmarować na jutro szory i brykę, bo mamy jechać z panem dziedzicem do miasta na stację od samego rana... Muszę jedną robotę wpiąć skończyć!

Żadnego polecenia i żadnego wyjazdu nie było, ale Mateusz otrzymanie jakiegokolwiek rozkazu niżej dziedzica poczytywał sobie za najwyższą obelgę. Uznawał jedynie pośrednictwo tych ludzi. Za każdy raz musieli się powoływać na samego Obrzyńskiego. Mówił tam na przykład pisarz:

— Mateuszu, pan dziedzic polecił, żebyś...

— I tak dalej.

O, to było dopuszczalne i jeszcze strawne. Inne rzeczy — stanowczo nie. Sprzeciwiali się jego pojęciom „mocnego siodła” w lipnickim dworze, jatkim się cieszył. Zarówno samo zjawisko jak i jego określenie zostały Mateuszowi z tych czasów, kiedy był na Lipnicy — majątek delegatem z powiatowego związku zawodowego robotników rolnych. Po powrocie z więzienia wziął go wtedy stary pan Obrzyński do siebie do gabinetu i po ojcowsku zagadał:

— Słuchaj, Mateusz: znam ciebie od dziecka, znam twojego ojca jeszcze. Całe życie u mnie przesłużył i marnego słowa sobie nie powiedzieliśmy. Ciebie pamiętam od tyłgo... o!



Tu stary pan Obrzyński pokazał nad posadzką rozczapierzoną dłońią pewną wysokość, która miała obrazować niski, wzrost ówczesnego Mateusza. Było to bardzo wzruszające. I Mateusz czuł się poruszony. Nie umiał płakać, bo już dawno nie płakał, ale chyba miał łzy w oczach. Odgadywał swój stan uczuć chrząknął znacząco i zapobiegawczo.

— Więc ci się pytam — ciągnął starszy siwy pan — coś na tym zarobił, żeś odmawiał chłopów od roboty z zegarkiem w ręku? Co? Powiem ci szczerze: bacy. I co jeszcze? Powiem ci dalej: więzienie. Ty zarobiłeś, żeś ich wtedy namawiał do strajku. I kogo? kogo? Takich ludzi: oni poszli do roboty, a ty do kozy... O, tyle zarobiłeś. Pies z kulawą nogą się nie upominał za tobą. A ty?

Wspomina te czasy Mateusz i przeżywa goręczy wstydu, zawodu, bólu. Był wtedy na wielkiej pochyłości, marzył o samobójstwie, ale stary Obrzyński okazał się prawdziwym ojcem i opiekunem.

— Widzisz, poznaj mnie. Tyś mi podma-wiał fornali, podganiał ich do strajków, kazałeś im robić według zegarka, chodziliś na skargę do powiatu, siedziałeś w więzieniu — powinienem cię za to wszystko wyrzucić. Ale ja tego nie zrobię. Ja cię przyjmuję bezdziesięć u mnie pracować, będziesz miał u mnie „mocne siodło”, ale już nigdy... nigdy więcej... rozumiesz?

Zrozumiał. Był pojętny. Zresztą to jedno doświadczenie było dla niego pouczające nad wszelki wyraz. Z kieszeni wyjął wtedy zegarek i zapowiedział w podwórzu fernalom: — Jutro cały dzień świętujemy. Jutro jest święto robotników! Kto się jutro od tego uchyli, ten będzie wyrzucony ze związku.

A pisarz od kuchni znowu zapowiedział rebiacie:

— Jutro każdy przychodzi do roboty, jakby nigdy nic. Jutro jest dzień robotny. Kto nie przyjdzie, ten z miejsca dostanie terminatkę... Powiedzieć to wszystko w koszarach!

I w rezultacie co? Ludzie poszli do roboty, a on do więzienia. Ci lipnicy chłopcy mają rację, że się od „dworusów” odzegnają. Jak z takimi ludźmi żyć? Jak uważać ich za kolegów? Mateusz ich nie lubi. Awansując na fozspana otrzymał inne, oddzielne mieszkanie. Te dwie rzeczy: funkcja i miejsce pobytu wyniosły go poza dworską społeczność fernali i odgradziły nareszcie od ludzi, którzy nie umieli, czy nie chcieli, walczyć o swój własny interes, o swoje własne życie.

Dobrze mu być takim, jakim jest. To, że został fozspanem, nie tylko go wyniosło spo-

śród fernali, to go jeszcze wydzieliło z okręgu dworu aż do wsi, do Lipnicy. Mało to się z panem tam najeżdżał? Jeszcze teraz, kiedy dziedzic Obrzyński został tam prezesem? Chłopi tam co prawda od czasu do czasu jakąś rzecz zamachują, a to przedtem koło młodzieży, a to teraz znowu spółdzielnie, zawsze chcą czegoś nowego. Ale pewnie i spółdzielni im nie długo starczy, jak i tego koła... Chociaż — zamyśla się Mateusz — teraz jest przecież i ksiądz i dziedzic...

Zapyta się pana Obrzyńskiego, ale chyba mu pozwoli zapisać się na członka razem z nim? To byłoby jedyne, większe jeszcze od zamieszkania oddzielnego!

Mateusz kręci się między wozownią a cugową stajnią, chce na wszelki wypadek zrobić złudzenie bardzo zajętego. Wyprowadził brzyckę przed drzwi, pociągnął ją sam ku studni, nabrał wiadro wody, wziął szmatę i zaczął nią trześć sprzchy, stopnie, błotniki i spód. Robić — cokolwiek, byle nie do siana...

Jednocześnie myśli. Tamte czasy — tamtego siebie zestawia z tym sobą w dniu dzisiejszym. Jakaż różnica! Tylko go tam jedynie w powiecie bujał! Był jesteście takim!

wy to i to możecie! Wam się to i to należy! W rezultacie nie mógł nic, bo we dworze nie pozwolił dziedzic, nie pozwolił pisarz, nie pozwolił dziedzic. Stary Obrzyński miał nosa, on wiedział, co mówił. Dziś z tego wszystkiego — ze wszystkich związków zawodowych nie został nawet kurz, tylko u niego w gminie przy jego nazwisku zapisano: „kary więzieniem na podstawie par. NN. K. K.” I jak świetnie ten stary wtedy zrobił, że go przyjął, że mu wszystko przekreślił, bo gdzie by on zaś z taką terminatką jakiegoś zajęcie znalazł? Już z tych, którzy cokolwiek za nim stali, nie ma ani jednego w Lipnicy. Wytrzesli się dziwnie z tych stron — musieli się wytrząść. Trudno ich nawet szukać w szerokiej okolicy. Zapomnieli nie tylko pola, na którym tyle lat pracowali, ale nawet zapomnieli i jego. Pociesza się, że tak — że nie może być inaczej.

Do dziś na pewno — ile to już przecież upłynęło lat. Czas zapadł za tym jak wielko kuferka, w którym schowało się różne pamiętki młodości. A swoją drogą słowa tego ostatniego jakżeż go pieką, kiedy o nich myśli. Zresztą najlepiej o nich nie myśleć. Przyszedł wtedy wieczerem do niego z niebieską

terminatką, przyszedł, a już miał na wozie głównejsze graty spakowane — i mówi:

— Słuchaj, Mateusz: gadałeś nam różne rzeczy, obiecywałeś nie wiem co, nieraz złote góry... I co z tego? Powiedz mi, co z tego wyszło? Patrz: tyś został, a mnie wyrzucą... Jak to może być? Jak? Powiedz, Mateusz: tyś to umyślnie zrobił, żeby nas potem mogli wyrzucić! Po to!... Żebyś!...

Mroczy mu się to w pamięci, nienawistnym spojrzaniem przeszłości, którą już przecież skazał na śmierć po tylkokrotnie od niewiadomo kiedy... Po co to wspominać? Najważniejsze, że wyniósł kości cale z tego wszystkiego i jakoś żyje...

Dlatego wieść, którą mu przynosi pokojówka, jest dla niego miła niby radosne objawienie:

— Mateuszu, pan dziedzic mówi, żebyście zwozili siano w cugowe konie... Tym małym wozikiem jakąś konicynę białą. Wiecie?

Ucieszył się. Bezpośrednio zadania wytracił go ze wspomnień. Za dużo tego dlabania. Ale potem ubodła go jakaś refleksja, kiedy mrugnął:

— Aha, musiał ten byk coś tam nagać!...
Teodor Goździkiewicz

Wacław Rybus

„MŁODY DZIAŁACZ” *)

(W odpowiedzi na artykuł „Przedsiębiorcy — działacze wsi”)

W gazecie „Wieś” z dnia 17.IX natknąłem się na wyżej wymieniony artykuł Dyzmy Gałaja. Z zaciekawieniem przeczytałem go, a ponieważ użyte w artykułach nazwiska są z mej wioski i treść jego jest bardzo zbliżona do poczyniń Bochenia, więc to mnie skłoniło do skreślenia kilku słów. Stosunek Gałaja do tych ludzi powiem, że jest wrogi, a jeśli by powiedział po literacku, to nieszczery i mylny. To drugie bywa wtedy, gdy się do rzeczy nie podchodzi z rozsądkiem i sercem, a tylko dla własnego „widzimiś”, albo dla tzw. „filozofii literackiej”. Na początku artykułu omawiana jest świetność Godzianowa, a potem historia jego przemian. Pierwsza gwiazda Godzianowa to organista i przez niego zorganizowany chór kościelny. Dajecie mu rolę silnika spalowego, którego, aby pracował, trzeba rozruszać ludzką siłą. Nie jestem socjologiem, ale tak zbawienne rolę nie obarczyłbym tego organisty. Po pierwsze, aby zorganizować chór trzeba ludzi chętnych i niezachwanych (wiem to z własnego doświadczenia). Po drugie, poddaje w wątpliwość czy inicjatywa założenia chóru nie wypłynęła właśnie od owych chórystów. Fakt faktem, że pierwsza komórka życia społecznego działająca na szerszą skalę w Godzianowie był ten chór. Komórka ta rozrasta się, to znak, że ludzium tym czegoś było potrzeba. Widzieli w tym coś, co by szarość codziennego życia ich odmieniło na nowo, lepsze. Dalsza praca, przynależność Kolego, że to już nie jest organista. Silnik pracuje. Dalsza praca to sama gromada, która zaczyna mozolnie krok za krokiem iść hen gdzieś do daleka zawieszonych latarni lepszego życia. Wejrzyjmy w historię i dopatrzmy się w niej prawa natury w ustroju rodowym. Nie też chyba dziwnego, że w Godzianowie znalazł się Rybus, Burzyński, Sołtyśzewski. Jeszcze raz sięgnijmy w stare karty historii. Kiedy nasza Polska była w pełni rozkwitu? Wtedy, kiedy na jej czele stał władca mądry i pracowity — będzie brzmiała odpowiedź. Nie komu innemu zawdzięcza Godzianów swoje dzisiejsze jestestwo jak tylko samemu sobie, chęci do pracy, a w pierwszym rzędzie zdolnym działaczom chłopom jak Rybusowi, Burzyńskiemu, czy Sołtyśzewskiemu. Tu leży sedno Godzianowa. To właśnie dzięki energii tej trójki, ich przedsiębiorczości, dzięki wreszcie ich staraniu i opiece nad dobrem sprawy, zawdzięcza Godzianów swą dzisiejszą świetność. Dalej — posadza się te trójki o kufactwo i zbagacenie się. Czy tak? Ja święcie jestem przekonany (z obserwacji Bochenia), iż właśnie mało że nie korzystali, ale w setnych wypadkach dokładali do tego interesu. Na marginesie przytoczę, iż spółdzielnia spóżywców w Bocheniu trzy razy od 1936—1945 była przez kataklizm wojny redukowana do zera i trzy razy właśnie nie przez innych, a przez Rybusów, Burzyńskich i Sołtyśzewskich była stawiana na nogi właśnie z ich funduszy. A przecież mogli to rzucić i nie prowadzić dalej. Mieli, według Dyzmy Gałaja, całkowicie interes — spółdzielnię we własnym reku, trzymali ludzi w chrześcijańskiej bójce i ciemnocie chłopskiej, dlaczego więc jej systematycznie nie okradali, a wręcz odwrotnie — spółdzielnię rodziła spółdzielnię. Bo w ludziach tych był i jest, śmiem twierdzić, ideał spółdzielczości.

Zarzuca się tej trójce w artykule, że się wybijali i kumali z endecją. Zgodzi! Ale należy postawić sobie pytanie, czy wtedy był rząd? Przez kogo byli obsadzone najmniejsze komórki hierarchii społecznej? O jakich ludzi opierały się starania tej trójki? Czy miniona konieczność nie wymagała kumania się z tamtą sferą? A zresztą, pisząc o tym kumanie się trójki z endecją wyraża nie podanie, że jeden był w OZN, drugi Wiciarz-ludowiec. Czy to nie nie mówi? Czy wy nie dopatrzycie się w swoich ocenach polityki tej trójki? Trzeba było wszędzie pasować. Tego wymagała przeszłość. Godzianów dlatego wypłynął, że potrafił przez macki swego organizmu wszędzie wnikać. Potrafił dla siebie zawsza wyciągnąć korzyści i zaskarbić je w swej gromadzie nie jako dobro prywatne, ale publiczne, społeczne.

Aby jaskrawiej wysunąć mijanie się treści artykułu z rzeczywistością, należy posłużyć się przykładem. Znajdziemy go w rodzinnej wiosce Gałaja — Mystkowicach. Dlaczego to właśnie Mystkowice nie stanęły na takim poziomie jak Godzianów, mimo że posiadały i posiadają aż dwie tak znaczne jednostki w osobach Gałajów. I co ważniejsze — Mystkowice miały bliżej organiste Chruslińskiego niż Bochen, a jednak nie był on dla nich gwiazdą dającą początek, a raczej poszedł do dalszego Bochenia, bo tam chcieli się uczyć. Inicjatywa leżała właśnie w tej trójce. Gdybyśmy się zapytali przeciętnego chłopca z Mystkowic — dlaczego w Bocheniu robota społeczna idzie dużymi krokami i czyni postępy, a u nich wolno, albo wcale — odpowiedziałby tymi słowami: „Bo nam brakowało zawsze takiego Adama Rybusa, jak wy mola”. I tu leży sedno rzeczy, a nie w organistach. Nie u człowieka przychodniego, ale u stałego mieszkańca danego osiedla musi być inicjatywa. Tu się, według mnie, znajduje racja Godzianowa, a również i naszego Bochenia. Bo która wieś miała zdolne jednostki, a te chciały pracować dla niej, to osiągnięcia są na miarę Godzianowa. Nie jest sztuką według mnie kształcić się za ojcowe pieniądze, a później pójść gdzieś, osiągnąć wygodnie i dobrze zarabiać, a przy tym mówić i pisać o polepszeniu doli swej wsi i mieszkańców. Nie sztuka jest dla inteligenta podpatrzyć życie swej wioski i opisać ją w taki czy inny sposób, ale sztuka jest być Adamkiem Rybusiem, który potrafił być wszędzie wszędzie. Sztuka jest obrócić 8 czy 10 ha. ziemi w zakresie własnych

sił, a potem w każdy wieczór wziąć trąbkę pod pachę i iść na próbę muzyki, teatru, czy śpiewu. Sztuka jest, nie mając zastępstwa w gospodarstwie, oderwać się od niego i jechać załatwić interes społeczny w mieście powiatowym czy dalej, bo inny, kto by mógł, nie chciał, albo nie umiałby tego zrobić. Sztuka jest przezwyciężyć samego siebie w momencie walki z trumą jaką ma każdy chłop „nie oblatany” przy wejściu do biura powiatowego, nie mówiąc już o starości.

Ja jestem młody. Przeżywałem dobre i złe momenty pracy społecznej, kształtuję swój światopogląd. Ja rozumiem pracę społeczną, rozumiem jej wzniosłość i dlatego pracuję, będę pracował i to dla swej wsi przede wszystkim, będę chciał z niej zrobić coś więcej niż Godzianów, ale gdyby mnie tak sądzono jak Rybusa, Burzyńskiego, czy Sołtyśzewskiego, to bodaj dziś kończą swą karierę. Nie chcę robić po to, aby później na łamach pisma robił ktoś mnie czy innego jeszcze za życia „tradycyjną piramidą ruchu ludowego” i odrzucał na margines jako niepotrzebny człowiek.

A czy dzisiejsza rzeczywistość, to nie jest ta wczorajsza Polska, która dążyła do spółdzielczości, a dziś ją ma rozwiniętą w całej pełni, a tylko więcej rozwiniętą, niż wyobrażali ją sobie przed wojną Rybus, Burzyński, czy Sołtyśzewski? Niemniej i ten młody porucznik z Godzianowa musi zawdzięczać swoje gwiazdki takim i innym Rybusom, którzy przez swą nieugiętą pracę i długie starania doprowadzili do dzisiejszej rzeczywistości.

Wacław Rybus

Piotr Chmura

DO „MŁODEGO DZIAŁACZA”

Pod nieobecność kol. Gałaja, który jest na badaniach terenowych wsi, postanowiłem Wam odpowiedzieć niezwłocznie. Dlaczego? Zainteresował mnie Wasz światopogląd, który, jak piszecie, kształtujecie świadomie. Jesteście młodzi, garniecie się do pracy społecznej. A młodość i praca społeczna wymagają kształcenia w wiedzy i świadomości społecznej. Czy wiecie już dużo? Czy jesteście na drodze do dojrzałości klasowej, jakiej od działaczy biedniaków i średniaków wymaga historia na tym etapie ich walki i potrzeb? Pozwólcie, że jak na egzaminie, ocenię Wasz światopogląd. Powiedzieliście swoje z okazji Godzianowa. Przyjrzyjcie się sami temu, coście powiedzieli. Niech się również przyjrzy wielu innym młodym działaczom i studentom, którym na pierwszy rzut oka Wasze argumenty mogą wydawać się pociągające.

SPRAWA PIERWSZA: POGLĄD NA HISTORIĘ

Dyzma Gałaj w artykule „Przedsiębiorcy — działacze wsi” pokazał, że przez dziesięć lat życie gospodarce i społeczne Godzianowa organizowała trójka tych samych miejscowych gwiazd. Fakt ów wyjaśnił, jako wyraźne historyczne (a nie przypadkowe i nie naturalne) tzn. zawsze powtarzalny. To było specyficzne określenie epoki, inicjatywa określonej klasy na wsi. Inicjatywę tę zdefiniował w formule „kapitalistycznego uspołecznienia”.

A teraz — Wy. Wy też wyjaśnialiście rządy trzech gwiazd. Szukacie argumentów na uzasadnienie ich inicjatyw, kierownictwa i panowania. Jakże to są argumenty? 1) „Wejrzyjmy w historię i dopatrzmy się w niej prawa natury w ustroju rodowym. Nie też chyba dziwnego, że w Godzianowie znalazł się Rybus, Burzyński, Sołtyśzewski”.

Młody działacz! W historii nie ma prawa „natury”, są prawa przemian historycznych. W historii był natomiast okres „ustroju rodowego”. Założmy, że z niego wywodzi działalność i prawo do niej Rybusy. Cóżby to znaczyło? Najpierw, że w życiu Godzianowa przedłużyły się pozostałości średniowiecza (nawet na wiek XX). Było to możliwe, proszę przeczytać w tym numerze artykuł Grada. Po wtóre — że Rybus i kompania to figury z pochodzenia i z działalności zajmują-

ce wysokie pozycje w tej późnowiecznej strukturze wsi rodowo-kumaterskiej powiazań społecznych. Ale w takim razie mamy do czynienia z tradycjami jeszcze większego zacofania niż kapitalistyczne. Mamy w najlepszym razie przełamywanie dopiero średniowiecza na rzecz inicjatywy kapitalistycznej. Rodowo — kumaterska więź społeczna pozwala swej elicie na kapitalistyczną modernizację już w stadium przedsiębiorstw ale rodowo-kumatersko uspołecznionych.

I przy tej koncepcji (bardzo prawdopodobnej) mamy jednak do czynienia z etapem historii wsi. A Wy mówicie o wiecznym prawie natury w historii: ustroju rodowym. Młody działacz! Wy czytacie stare książeczki o mistyce słowianizmu. A o tej mistyce pisało się i wyjaśniało. Bez tej roboty rewizjonistycznej nie byłoby demokracji „Wi- ci”.

Wasz argument 2) „Kiedy nasza Polska była w pełni rozkwitu? Wtedy, kiedy na jej czele stał władca mądry i pracowity”. I dla tego Rybusy — jako mądre władcy — mieli prawo rządzić wsią? Młody działacz z Bochenia! I to Wy, reprezentant wsi, która przez wieki była w niewoli pańszczyżnianej, a potem w okresie kapitalizmu, w wyższym klasowym mieście, wiejskiej, krajowej i zagranicznej burżuazji. Wy powtarzacie burżuazyjny trick o tym, że historie tworzą jednostki i to jednostki odłączone i przeciwstawione — w rozumowaniu — społeczeństwu? Dla Was historia to nie dzieje klas i ich walk i nie podłoże materialne rozwoju zmian techniki produkcji, na którym ukladają się odpowiednio zmienione stosunki społeczne?

Nie, Młody Działacz! Nie wolno Wam mówić „o wzniosłości pracy społecznej i o jej przez Was zrozumieniu”, skoro nie rozumiecie, że ona jest klasowa i historyczna. Nawet ta sama klasa stoi na każdym etapie historii przed innymi celami i zadaniami historycznymi.

A dla Was to „krok za krokiem iść hen gdzieś do daleka zawieszonych latarni lepszego życia”. Hen, gdzieś daleko lepsze życie... obiecują także w niebie!

SPRAWA DRUGA: POGLĄD NA POLITYKĘ

Wy nie kwestionujecie, że Rybusy i kompania wzięli się z endecją i OZN-em. Ale

ich tłumaczycie: „Czy miniona konieczność nie wymagała kumania się z tamtą sferą?... „Trzeba było wszędzie pasować. Tego wymagała przeszłość” Młody Działacz, to co piszecie jest potwornie! Odbieracie Rybusom nawet godność polityczną. Nie wiem, czy się podpiszą pod Waszym wyjaśnieniem. Ale nie o nich tu idzie — o Was, o Wasz pogląd. Widzieli w nich Wallenrodów (jeden był Wiciarz), którzy kumają się z siłami wówczas rządzącymi, z siłami ugniatającymi wieś biedniacką i średniorolną — po to, aby dla swojej wsi wykraść ochłapy. Bo skoro były takie czasy rządów endecko-sanacyjnych, to znaczy dla wsi generalnie było... gówno! Ale gwiazdorzyc godziawscy „wszędzie pasują” i z wrogami chłopów się „kumają”. A jaki wynik? Inny niż Wy wysnuwacie. „Która wieś miała zdolne jednostki, a te chciały pracować dla niej, to osiągnięcia są na miarę Godzianowa”. Przecież wiecie, że kłamiecie. Prawda jest inna. Godzianów można było w Polsce przedwojennej polczyć na palecach. Jeszcze Albogowa, jeszcze Lisków i jeszcze co... i koniec! Kto tu kogo podszedł? Endecja i sanacja. Waszą wieś! To ona potrzebowała mieć takie Godzianowy, Albogowy i Liskowy, aby zatkać gębę wielomilionowym masom chłopskiej biedoty. Odszukajcie we wsi zdolne jednostki, proście je o pracę społeczną, w każdej wsi będzie Godzianów. To było oszustwo rządów wyzysku! Na taką pułapkę w takiej skali jak w Godzianowie zispać się mogli chłopcy zdradzający interesy mas biednych chłopów.

Zdolni do „pasowania wszędzie” i „kumania się” z tamtą sferą”. Za pokazowe kumanie się wydeptywali fundusze na pokazową wieś. Na wieś, która na ile była pokazowa, na tyle miała być nie początkiem nowej epoki dla chłopów, ale gwoździem do trumny dla całej klasy biednych chłopów.

W pojęciu „kumania się z tamtą sferą” tkwi sprzeczność. Bo kumać się to znaczy wiązać i przechodzić w „tamtą sferę”. I to było prawdą. Przecież spółdzielczość powstała jako samobrona drobnych wytwórców, rzemieślników, robotników, potem chłopów przed wyzyskiem, który był klasowy i ustrojowy — przed wyzyskiem kapitalizmu.

A Rybusy nie działali według hasła „sami sobie”. Nie działali też jako reprezentanci społeczności gromadzkiej. Ten fakt Wy podkreślcie nieustannie. Oni się wsi na- pychali ze spółdzielni. Wy piszecie, że trzy razy się walczyło, a oni je wznowiali i to z „własnych funduszy”. Więc jak to było z tym, jak Wy nazywacie „interesem”? Idea spółdzielczości była tu zwinnością. Organizatorzy jej kumali się i pasowali do „tamtej wrogiej sfery”. Pokazowa wieś kosztowała trochę rząd sanacyjny. Byli aktorzy teatru wiejskiego przeszli do reżyserii wsi pokazowej, podnosząc niezmordowanie upadające spółdzielnie, coż więc było ich interesem? Pokazowe wsi ze społecznymi przedsiębiorstwami, które oni stawiali, wznowiali i prowadzili jak widowisko przed wsią i Polską „kumając się”, „pasując” i wydeptując, co trzeba było, dla tego widowiskowego interesu. A dyrektorzy teatrów albo są opłacani, albo się sami opłacają. I grają takie sztuki, jakich się od nich żąda. Działacze skumani i pasujący do rządów kapitalistycznych, do klas burżuazyjnych, nie mogli grać dla publiczności swojej wsi — wsi biedniackiej i średniorolnej w Godzianowie i w Polsce. Grali dla tej wierzchołkowej części wsi, która w swych dążeniach od dawna ciągnęła do „tamtej sfery”.

Dlatego było to, jak pisał Gałaj, „uspołecznienie kapitalistyczne”.

Wyobraźcie sobie Młody Działacz, że przywódcy wszystkich wsi kumali się i pasowali do rządów sanacyjnych — czy byłby możliwy przewrót ustrojowy? Czy posunęłaby się historia wsi naprzód? Gałaj pokazał, że Rybusy nie byli wyzyskami i przywódcami klasowego interesu wsi średniorolnej i biedniackiej. Przywódcy chłopów biednych nie mogli i nie kumali się z wrogami klasowymi. Walczyli z nimi. Działacz społeczny nigdy się „nie kuma” i nie „pasuje wszędzie”. Walczy i zawiera sojusze z klasami, jak jego, walczy i walczyli.

Przemysław Młody Działacz sprawę sojuszu robotniczo-chłopskiego na obecnym etapie w Polsce Ludowej. Sojusz zjednoczonej partii robotniczej z biednym i średnim chłopstwem. I wypłył z tego zawsze słowa „kumać się” i „pasować wszędzie”. Nigdy one nikogo nie rozgrzeszają, zawsze po- tępiają!
Piotr Chmura

*) Tytuł listu Rybusa pochodzi od redakcji.

Jan Bolesław Ożóg

Z przyczółka dzikiej gruszy

(odpowiedź krytykom i recenzentom)

Radom, 1 listopada 1948 r.

Do Redakcji „WSI”

Od jakiegoś czasu spotyka się ustawicznie na łamach czasopism, a głównie „WSI”, ataki na autentyzm i autentystów. W Nr 44 Br. Urbański w artykule p. t. „Drogi i rozdroża literatury chłopskiej” nie zdając sobie całkowicie sprawy z tego, o co się właściwie bije autentyzm, znowu napada na „prowincjonalną”, jak mu się zdaje, „Okolicę Poetów”. Główne zarzuty oponentów zmierzają, zdaje się, do stwierdzenia, że autentyzmowi brak określonego bliżej stosunku do zagadnień bieżącego życia. Proszę Redakcję o udzielenie mi głosu, abym mógł na zarzuty odpowiedzieć. Jedna strona wypowiedziała się już, jak mi się zdaje, całkowicie, czas więc na głos strony drugiej.

J. B. Ożóg

Marksiści, którzy przyznają, że hasła autentyzmu są dla nich czasem czymś aż za bardzo jasnym i bliskim, radzi by, realizując je, obdarzyć go światopoglądem socjalistycznym. Przypominają wypowiedzi bliskiego autentyzmowi (w ostatnim okresie twórczości) poety Ignacego Fika, który chce, żeby sztuka była metaforyzacją rzeczywistości, a ta rzeczywistość żeby kapłała się w barwach światopoglądu socjalistycznego. W rzeczy samej poematy Fika, w pewnym sensie bardzo autentystyczne, są ilustracją jego ideologii i miłą fotografią marzeń i ustroju, najbardziej postępowego i najbardziej wypełniającego postulat wszystkich warstw społeczeństwa, za jaki uważa ustrój komunistyczny. Przykład: „Pieśń o Wiedniu”

Na potwierdzenie, jak rozbieżne sady trafiają się u poetów na temat, który ustrój jest najbardziej postępowy, posłużyć może fakt, że nacjonalista Dobrzyński i Pietrkiewicz upatrywali go przed wojną w narodowym faszyzmie, a ja w pewnym okresie w totalizmie chłopskim.

Wspominam o tym nie tylko dlatego, żeby wykazać, jak rozmaicie może wyglądać w odczuwaniu poetów w rozmaitych czasach metaforyzacja rzeczywistości, lecz nawiasem także i dlatego, żeby wreszcie odeprzeć najzupełniej bezpodstawnie zarzuty, że autentyzm to tylko chłopski naturalizm i że autentyzmowi brak zabarwienia społecznego, a więc bliższe określenie stosunku do społeczeństwa.

Sąd taki co najmniej zdumiewa. W ogóle dziwne, żaden dotychczasowy prąd literacki nie zmobilizował przeciwko sobie tylu wrogów (nie tylko wśród grafomanów), nie wywołał tylu zdziwiałych sprzeciwów i insynuacji, które trzeba było prostować i których trzeba się było ze zdziwieniem wypierać, co autentyzm.

Dzieje się to, myślę, dlatego, że autentysty są w przewadze z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a u nas ciągle jeszcze utrzymują się mieszczańsko-szlacheckie uprzedzenia do wsi, czego się powojenni demokraci nie mogą jakoś pozbyć i skąd absolutnie nikt w naszym kochanym kraju nie chce zapoznać się dokładnie z teorią Czernika, drugie, że do krytyki właśnie autentyzmu zabierają się rozmaici podszczętni przez kanały (nie brak ich) początkujący studenci polonistki, którzy rabia na ślepo, na ile sil im starca, używając sobie ile wlezie, tym mocniej, im więcej przekonani o pełnej europejskości własnej pseudo-kultury wyniesionej z gimnazjum i ze skąpej lektury czasopism literackich — ucząc chęć głupich i zacofanych w ich mniemaniu kmotków, jak należy pisać.

Niedawno temu popularny krakowski poeta Jalu Kurek zwierzał się w „Dzienniku

Polskim”, że w swej podróży literackiej po kraju trafił m. in. także do Lublina. W mieście tym on, dziennikarz i pisarz, był po raz pierwszy w życiu. „Było się — wyznał bez troski — w Barcelonie, Myślenicach, Tunisie, Rzymie, Tarnowie, a nie znało się Lublina”.

Cale dwa ostatnie pokolenia literackie to ludzie tego pokroju co Kurek, skądinąd wcale porządny obywatel. W okresie jakiejś takiej wydajności bierze taki facet trochę forsy od rządu albo z jakiegoś dziennika i jedzie za granicę, właśnie do Rzymu czy Barcelony, albo... Argentyny, a na starość, gdy już nie ma o czym pisać, objeżdża kraj, nakpi z jakiegoś Radzymina czy Kłaja, napiśże to potem w jakimś „Dzienniku Polskim” i sądzi, że on, wielki mistrz i mag, jest już ze wszystkim w porządku. Tak u nas wygląda poznanie kraju.

Czy wobec takiego stosunku jednego i drugiego poety, uchodzącego w opinii powszechnej za bardzo nowoczesnego i bardzo europejskiego, do kraju i wszystkiego co krajowe można się dziwić, gdy okolice naszego rodzinnego autentyzmu w opinii hołoty literackiej uchodzą za Kłaj czy Pipidówkę?

Pechowi wyrobnicy pióra patrolują obecnie nagonce na nas. Ten najzupełniej zwyrodniały rewizjonizm „rewolwerowy”, jak go trafnie nazwał swego czasu Czernik, przeszedł już, jak widać w obowiązującą tradycję, skoro do dzisiejszego dnia nie zamilkło jeszcze ujadanie recenzentów (Matuszewski, Kiwiłsz, Lichniak itp.) i nie odczwał się głos sumiennego krytyka, który by dyskusję o autentyzmie sprowadził na właściwe tory.

Ale do rzeczy.

Czernik pisał tak: „Zasadniczy kościół autentyzmu: poszukiwanie prawdy artystycznej w ścisłym związku z poszukiwaniem prawdy życiowej”.

Uważam, że słowa te nie stoją w żadnej kolizji z postulatami tzw. społecznej literatury.

Kto nie trudzi się poszukiwaniem prawdy? Nawet marksista szuka prawdy. W rzeczy samej czym jest taka czy inna ideologia polityczna, jeśli nie próba szukania również w wysokim stopniu prawdy życiowej i szczęścia? Myślę, że uprawianie wszelkiego rodzaju tematyki, a więc m. in. i społecznej jest nakazane przez każdą poetykę i jest samo dla siebie zrozumiałe. Czernik wysuwał tej sprawy na czoło nie uważał po prostu za stosowne, wydaje się to tak oczywiste.

Gdzieś indziej Czernik powiedział, że prawdziwy, mocno ukształtowany poeta staje się poetą społecznym przez sam proces tworzenia, nie uświadamiając sobie nawet tego, nawet gdy nie porusza spraw społecznych i nie walczy wyraźnie o nowy porządek świata. Wystarczy żeby tkwił korzeniami w życiu określonej grupy społecznej, skąd pochodzi.

Nie znaczy to oczywiście, żeby twórcy nie wolno było stać się, gdy tego wymaga chwila, czy jego osobista postawa etyczna, takim bojownikiem jak, dajmy na to, Majakowski.

Ani jednym słowem ani Czernik, ani ja i żaden w ogóle z autentystów nie wystąpił z potępieniem tego rodzaju twórczości, co poezja estradowa. Sztuka Majakowskiego była drożdżami i chlebem, na których urosło życie ZSRR i jego potęgą. Daj Bóg, abyśmy wydali i my poetę o takiej skali talentu co autor „Lewa marsz”, który by przy — naturalnie — innej, własnej, oryginalnej technice dał nowym czasem treść tak życiową, jaką dał on!

Daleko do niego mają poeci naszej Awan-gardy — i myślę, że jeśli narodził się pisarz tej skali co rudy osilek z Moskwy, to narodził się w atmosferze właśnie autentyzmu.

Choć autentyzm nie wysuwa hasła tzw. poezji społecznej na front wszystkich zagadnień, to jednak dominuje ona w wypowiedziach czołowych jego przedstawicieli. Spotykamy się u tych poetów ze zrozumieniem najistotniejszych potrzeb, jakich się domaga postęp społeczny i życie. Ale poezja ta daleka jest od wulgarności tzw. „poezji rewolucyjnej” tego typu, jak często spotykaliśmy przed wojną w zgłębach nawołujących do rzezi i niszczenia, np. u Bronisława Kamińskiego czy Gronowicza, albo jaki w ostatniej chwili spotykamy często na łamach „WSI”.

Potwierdzeniem społecznego autentyzmu są przedwojenne i powojenne poezje „Okoliczan”. W „Powodzi i śmierci” oraz w „Trudnym życiu” Czernikowski żywo się wczuwał w byt chłopów i robotników. Przedwojenny Czernik w „Przyjaźni z ziemią” kreślił nędzę chłopów, któremu rad by oddać wszystek węgiel, naftę i sól z kopalni, a Ożóg idzie jeszcze dalej, bo żąda w „Odzie polnej” wyłącznej władzy dla chłopów w państwie totalnym z marszałkiem — chłopem na czele.

O równość społeczną i prawo dla wsi rodzinnej dopomina się Frasiak w ujmujących poematach np. „Długa ojczyzna”. Dobrzyński zaś i St. R. Dobrowolski sprawę walki o prawa polityczne przenoszą na teren miasta.

Samo wkroczenie przed wojną w literaturę chłopów — autentystów było potężną manifestacją sił „dół społecznych” przeciw siłom „elity”.

Po wojnie problematyka społeczna u autentystów rozszerza się i wybija na czoło we współczesnej literaturze.

Nedza — Kubiniec w poemacie o zbójniku Janosiku, „który chciał porównać świat”, rysuje niedolę i nędzę wsi i szamotaninę się górali z panami i księżmi, mało tego, posuwa się dalej, czyni z Janosika bohatera narodowego, hetmana chłopskiego. Podobnie Kubisz w „Balladzie o hawirskim Śląsku” przenosi nas w odległe czasy pańszczyzniane i rzuca ciupagę w grafów niemieckich, którzy piją krew górników i chłopów nad Olzą.

W malowanych pawim piórami sielankach Frasiak kreślił kłótnie sąsiedzkie na wsi i zatargi graniczne, narastanie miasta w niedzie polną, to samo próbuje za nim epigon jego i mój, Edward Marzec, a ja (przepraszam za nieskromność, ale czasem pisanie o sobie jest obowiązkiem) zająłem się problemem repatriacji i osadnictwa na Ziemiach Odzyska-

nych („Prośba”, „Teraz Polna” w tomie „Ję wielki Wóz”).

Zbliżony do autentyzmu Ożga — Michalski w nierównym artystycznie, ale treściowo bardzo ciekawym „Poemacie nowosieleckim” powraca do głośnej „sprawy nowosieleckiej” i pojedynku chłopstwa z polityką Marszałka Rydza-Smigłego.

Nawet taki Olcha, któremu wprowadzić daleko jeszcze do autentystycznej doskonałości, ale który w wierszach poetyzujących parcelację ziemi („Moje pole”) zbliża się do ideału poety — autentysty, gdy zdobywa się na oryginalną treść, dogłębnie przeżyta, jest także pisarzem społecznym, o nowej, czynnej postawie wobec życia — w stopniu o wiele wyższym, niż, dajmy na to, Jastrun, Przyboś czy... Włodek i Bratny.

Ci ostatni często usurpują dla siebie tytuł poetów społecznych, a nie pamiętają o tym, że o pisarstwie społecznym decyduje nie przynależność partyjna, ale właściwe dokonanie artystyczne połączone z czynem społecznym.

O to chodzi, by poeta rozumiał jak najsilniej interesy kraju i ziemi i żeby tej ziemi trzymał się rekami i nogami. Ziemia wychowuje i uczy. Kto rozumie ziemię, to choćby był robotnikiem, górnikiem, inteligentem, marynarzem, będzie czuł, jak czuje autentysta. Tu, na ziemi rośnie olimpijski ogień na wszelki użytek, nie na płycie kawiarnianego stolika.

Jakkolwiek by kto sądził, wydaje się nam oczywiste, że nigdy prawdziwej poezji nie stworzył poeta, który wyrosł jedynie z kalki „Kapitału” Marksa.

Mało też obserwacja. Nie wystarczy zwięździć szyb węglowy i wystawę Ziemi Odzyskanych, żeby się stać poetą „nowej rzeczywistości”, jak nie wystarczy zobaczyć Gdańsk, czy Szczecin, żeby zostać marynistą.

Nie omylił się, kto to rozumie, że należy niekiedy zachować jak najdalej posunięty krytycyzm wobec tego, co nam życie przynosi w swojej torbie. To jest właśnie czynna postawa wobec życia, nie niewolnicze taszczczenie na barkach tego, co ono nam daje. Rzeczywistość, nawet budowana przez nas albo budowana z naszą aprobatą oszukuje nas zbyt często. Musimy sami siebie mocno brać za pysk, jeśli nie chcemy, by nasze fantazyjne zachcianki, nasze plany, w zasadzie słuszne i dobre, nie przyniosły nam zagłady.

Cóż dopiero mówić o życiu, którego nie kontrolujemy, którego kontrolować w danej chwili nie jesteśmy w stanie. W tym wypadku musi być zachowana duża ostrożność do pory, nim nie stanie się ono naszą psychizną, dogłębnie przeżyta własnością.

Mimo woli cisną mi się do warg słowa z anegdoty o chłopie, który wysłał synka do gimnazjum i na pożegnanie udzielił mu ostatnich rad: „Do szkoły chodź, po mieście patrz naokoło, profesorów słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl!”. Właśnie: patrz naokoło i słuchaj, ale kuferek zamykaj i swoje sobie myśl. To jest mądra zasada. Zdolna jest stworzyć życie.

Pamiętajmy, że ani jeden człowiek nie jest nieomylny, co dopiero program literacki! Życie buduje się ze sprzeczności i omyłek. Świat to dla nas ustawiczna niespodzianka. Trzeba umieć dobrze obserwować i dobrze wybierać, żeby nas nie pochłonięła jama bagna, porośla ładną, zieloną łąką.

Paulina Czyżowa

Odpowiedź poecie z przyczółka dzikiej gruski

Wystąpienia autentystów stają się już piętrzeniem powietrznej wieży, buduje się coś na czymś, co w ogóle nie istnieje. Stanisław Czernik nie podtrzymuje, nie rozwija swojej, jak Ożóg pisze, teorii, zajmuje się krytyką literacką — prywatnie, nie z pozycji przedstawiciela grupy. Stanisław Piętał odrzekł się jakiegokolwiek związku z autentyzmem. Jeden Jan Bolesław Ożóg otoczył się okopem, założył przyczółek wojenny „pod dziką gruszką” i dalej walczy, a właściwie tylko robi huczek dokoła swojej osoby szkodząc swoimi wystąpieniami publicystycznymi własnej poezji. Jan Bolesław Ożóg dobrze wie, dział przesyłając swój artykuł o autentyzmie do redakcji „WSI”, że kładzie rękę w paszczę lwa. To też polemika chyba go nie zdziwi.

Taktyka wojenna Ożoga niewątpliwie zmienia się i to należy zauważyć. Zmiana polega na tym, że Ożóg broni swoje „przyczółka” przeciągając go na pozycję przeciwnika. Tak jak np. drobno-mieszczanie bronią swego fideizmu wobec lewicy twierdzeniem, że chrześcijaństwo to prawdziwy socjalizm, tak i Ożóg przeciąga autentyzm na stronę, z którą polemizuje i deklaruje, teraz właśnie,

zgodność autentyzmu z socjalizmem, super-lewicowość teorii autentycznej, przypisuje jej „charakter manifestacji kulturalnej „dół społecznych” przeciwko kulturze elity i kawiarnianego stolika.

Historia uczy. A jednak ta maskarada, jaką urządza Ożóg z autentyzmem, tym wyraźniej odsłania jego, a przede wszystkim własne — Ożoga niekonsekwencje, mówiąc nieco prościej — absurdy.

Filozoficzne założenia autentyzmu, jak je formułuje Ożóg, są zupełnie mętne i tak oberne, że mieści się w nich wszystko. Co dobrego w literaturze — to autentystyczne. Nawet polski Majakowski ma wyjść z atmosfery autentyzmu.

Dziwi się Ożóg niezmiernie, dlaczego to właśnie autentyzm budzi tyle protestów w świecie literackim i tą manią przesładowczą zdradza jeszcze raz swoją nieprawdopodobną zarozumiałość. Język polemiki Ożoga nie skłaniałby w ogóle do odpowiedzi, gdyby nie sprawy merytoryczne. Towarzystwo, do którego zwraca się Ożóg, to „hołota literacka”, młodzi krytycy — pofanicy „poszczotki przez kanały”, „ujadający recenzenci” itd.

Przyczyn niepopularności autentyzmu doszukuje się Ożóg w tym, że przedsta-

wiciele tego „prądu literackiego” są z pochodzenia chłopami albo robotnikami, a w „naszym kochanym kraju” rządzą ciągle uprzedzenia mieszczańsko-szlacheckie.

Podjeżdżania dzisiejszej krytyki literackiej o uprzedzenie do pisarzy pochodzenia chłopsko-robotniczego — jest dyktowane jakimś dziwnym — jak powiedziałby Pigoń — urazem społecznym. Rzecz się ma wręcz przeciwnie. Chucha się u nas i dmucha, jeśli można tak rzec, na chłopską literaturę. Wiele książek — powieści Gałaja, Mortona, Pogana, pamiętniki L. Rudnickiego — zostały przez krytykę ocenione nieraz wyżej obiektywnej wartości artystycznej ze względu na cenny materiał poznawczy, społeczny, jaki zawierają, ze względu na nową problematykę i świeży teren pisarskiej obserwacji.

Z poetami sprawa jest trudniejsza. Samo doświadczenie społeczne wynikające z pochodzenia, jak mówi Ożóg — „z warstw dolowych” — nie wystarczy. Gdybyśmy zresztą nawet próbowali prześledzić tzw. chłopską poezję ze względu na treść społecznego doświadczenia, jakie zawiera — okazałaby się ona dość uboga. Recenzje krytyczne z tomików

poetów chłopskich stwierdziły określoną w każdym wypadku konwencjonalność literacką tej poezji. Poeci chłopscy piszą o wsi w kategoriach poetyki mieszczańsko-inteligentkiej, bo nie istnieje żadna robotniczo-chłopska poetyka, natomiast wydzwięk ideologiczny ich ujęcia wsi da się również łatwo umieścić w mieszczańskich ideologiach łączenia się z ludem, powracania do wsi, do chłopstwa jako do prymitywnego człowieka natury, do ziemi.

Chłopskie przywiązanie do ziemi — określała ekonomiczna sytuacja wsi polskiej polegająca na głodzie ziemi wynikiem z przełudnienia i na przymusowym zamknięciu środowiska pozbawionego szerszego ujęcia do przemysłu. „Przywiązanie do ziemi” wyganiało chłopów ze wsi do Ameryki, jechali oni z myślą, że po powrocie dokupią morgów, „przywiązanie do ziemi” kazało bogatemu chłopu dokupywać ziemi od zadłużonych wiejskich biedaków, wreszcie „przywiązanie do ziemi” wypychało pozbawionych roli do fabryk i kopalni, gdzie stawali się i faktycznie, i w świadomości polską klasą robotniczą.

Taki był charakter tej chłopskiej miłości do ziemi — albo wyzysk drobno-

rolnego, albo marzenie o mieście, z jego fabrykami, czy z drobnomieszczańskim, wyższym cywilizacyjnie stylem życia. Czysty mit ziemi zachował się tylko u naturalistów mieszczańskich, burżuazyjnych anty-urbanistów i moralistów. Typowym i wpływowym przedstawicielem tego kierunku był Bertrand Russell, obrońca natury przeciwko cywilizacji technicznej.

Analogicznie i u Ożoga ten mit ziemi wyrażony jest w formie niemal parodystycznej. „Ziemia wychowuje i uczy”, bez zrozumienia ziemi nie można być poetą. Poetom ziemi przeciwstawia Ożóg poetów „kawiarnianego stolika”. Ci pierwsi tylko są społeczni i moralni.

Nie zamierzamy dowodzić absurdalności „totalizmu chłopskiego” Ożoga. Ona jest zbyt jasna. Natomiast jego postawa krytycyzmu wobec tego, „co życie przynosi w swojej torbie”, jego relatywizm społeczny i teoria niespodzianki („Świat to dla nas ustawiczna niespodzianka”) — są już wymierzone wprost w marksizm a nawet w ustrój: „Do szkoły chodź, po mieście patrz naokoło, profesorów słuchaj, ale kufersk zamykaj i swoje sobie myśl”.

Dla tych, którzy wierzą w możliwość naukowej wiedzy o świecie i życiu społecznym, którzy więc mają kult dla myśli systemowej, uporządkowanej, którzy nie uznają antynomii między światami praktycznego działania, a własną myślą, rozumowanie Ożoga jest nie tylko błędne, jest niemoralne. „Kuferek zamykaj i swoje sobie myśl” — to zasada na czasy terroru, okupacji i konspiracji, a nie ustroju robotników i chłopów, do których zalicza się Ożóg, ustroju, w którym ze względu na swoje chłopskie pochodzenie czuje się wraz z całym autentyzmem lekceważony i prześladowany.

Jeśli Ożóg nie zgadza się z nami, nie zgadza się z rzeczywistością społeczną, niech stoi po przeciwnej stronie, niech walczy. Przybieranie jednak maski zasadniczego godzenia się z marksizmem, po to, aby się odciąć od niego w praktyce, jest walką przewrotną.

A przede wszystkim przestańcie się stroić, chłopscy poeci „spod dzikiej gruski” w ludowe sukmany, obryzane błotem pędzącego wozu historii. Bo wasz przedwojenny „totalizm chłopski” to była — zwyczajnie — aproba rewolucji tylko i wyłącznie burżuazyjnej, stawianie na wieś idącą pod dyktando kulaków i kapitalistów wiejskich. Postawił tę zasadę agraryzm, odcinając teoretycznie „całą wieś” od klasy robotniczej. Praktycznie realizował ją Mikołajczyk w „partii dla wszystkich”, która miała być podstawą „demokracji drobnomieszczańskiej”, a drobnomieszczaństwo (wraz z kulakami) miało z kolei powierzyć taką oczywistą imperializmowi anglosaskiemu. Miało — znaczy to — i — musiało.

Bo wasz powojenny relatywizm, uznawanie wszystkiego, co się dzieje w Polsce, za względne, ostrzem swym zwraca się przeciw biedocie wiejskiej, to znaczy podstawowej masie wsi, wymaga wahania średniaka i odstrasza go od jedności biedoty i jedności jednych i drugich z klasą robotniczą. Z klasą robotniczą, której rewolucja dała chłopu ziemię obszarniczą, której rewolucja wyzwoliła go spodarczo, tym samym politycznie Polskę z niewoli kapitalizmu imperialnego, której to klasy robotniczej sojusze ze wsią zacieśnia się coraz mocniej i coraz wyraźniej, ze wsią wyzyskiwaną kapitalistycznie, przeciw tym na wsi i tym w mieście, którzy jeszcze wyzyskują, przeciw systemowi kapitalistycznemu, jaki w ich praktyce utrzymuje się jeszcze hamując rozwój lepszej, a wspólnej, przyszłości całego świata pracy w Polsce.

Zaiste, od „totalizmu chłopskiego”, do względności świata jako niespodzianki — to droga do przyczółka wsteczństwa... „dzikiej gruski”.

Paulina Czyżowa

ADMINISTRACJA TYG. SPOL. — LIT.
„WIEŚ” PRZYPOMINA O WPLACIE ZALEGŁEJ — RENUMERATY ZA ROK 1948.

ADMINISTRACJA

Zdzisław Ochęduszek

Pisze się dużo i więcej jeszcze mówi o konieczności odnowienia naszej humanistyki, o potrzebie zaznajomienia z bogatymi osiągnięciami nauki sowieckiej: medycyny, agrotechniki, biologii, o poparcie przez nasze władze oświatowe pracowników umysłowych-marksistów, o tzw. „szkoleniu kadr”. Ale — rzecz znamienita — ten właśnie, tak istotny podręcznikowy „odcinek” (żeby użyć modnego słowa) zostaje całkiem zaniedbany w programie miesięca polsko-radzieckiej wymiany kulturalnej. Co więcej: leży odłogiem także przez pozostałe 11 miesięcy roku... I tak od czterech lat. Czas mija, dzieci rosną, młodzież dojrzewa, uczy się... — Czego się uczy?

W każdym ośrodku uniwersyteckim znaleźć można kilka, jeśli nie kilkanaście, wydanych po wojnie skryptów przestarzałych z punktu widzenia współczesnej nauki i zacofanych z punktu widzenia nowoczesnej metodologii. Przy każdej też bez mała katedrze humanistycznej znajduje się wykaz obowiązującej studenta lektury, zawierający anachroniczne prace naukowe, wydawnictwa zaś wstecznych ideologicznie i przestarzałych metodycznie dzieł firmują najpoważniejsze naukowe instytucje. Dostatecznie wiele tych płoćw zasuszonej wiedzy natyka się młodzież akademicka w ciągu kilku lat studiów. — A skutki? — Widoczne jak na dłoni.

Adam Ważyk w ciekawym artykule „Kilka słów o metodzie” („Kućnica” nr 39, s. 1) stwierdza z przekąsem, że „w ciągu trzech lat nie wpłynęły w publicystyce literackiej nowe nazwiska wykształ-

Jerzy Smutny

22 lipca bieżącego roku, w 4 Rocznicę Manifestu Lipcowego ukazał się pierwszy numer „Pokolenia” czotwego dwutygodnika Związku Młodzieży Polskiej.

Sytuacja na odcinku młodzieżowym postawiła przed pismem szereg ważnych i odpowiedzialnych zadań do spełnienia.

Nowopowstający Związek Młodzieży Polskiej musi wykonać w pierwszym etapie olbrzymią robotę jednoczenia poszczególnych organizacji w terenie. Należało się spodziewać, że akcję zjednoczeniową prowadzoną na szczeblu wojewódzkim, powiatowym i gminnym wesprze w poważnym stopniu Naczelny Organ tworzącego się ZMP. Jest przecież jasne, że centralne pismo młodzieżowe powinno choć w części usuwać trudności ideologiczne, z którymi spotykał się i nadal jeszcze spotyka młody aktywista prowadzący pracę zjednoczeniową w terenie. Z faktu stworzenia jednej organizacji młodzieżowej nie wynika bynajmniej, że znikła potrzeba pisma instruującego działalność poszczególnych jej ogniw. Wprost przeciwnie — prowadzenie pracy instruktoryjnej poprzez pismo jest daleko potrzebniejsze teraz, niż przed zjednoczeniem.

Młody ZMP-owiec, szczególnie aktywista, musi widzieć jak funkcjonują poszczególne ognia organizacji. Chodzi jednak jeszcze o coś więcej. „Pokolenie” winno zorganizować nie tylko sprawnie funkcjonującą sieć korespondentów terenowych, ale też prowadzić na swoich łamach wymiany doświadczeń nabywanych przez poszczególne ośrodki organizacyjne.

I jeszcze jedna uwaga. Związek Młodzieży Polskiej jest częścią Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej, jest częścią wielkiego antyimperialistycznego frontu. Wynika z tego faktu konieczność utrzymywania ZMP-u w stałej łączności z resztą demokratycznej młodzieży całego świata. Pod tym względem rola czołowego pisma młodego pokolenia jest szczególnie ważna.

Takie postulaty pod adresem „Pokolenia” wysuwane były i są wysuwane przez członków Związku Młodzieży Polskiej.

Zastanówmy się teraz, czy Komitet Redakcyjny miał warunki na wykonanie tych schematycznie i tylko w części wyznaczonych zadań. Wydaje się, że tak. Przede wszystkim dysponował dorobkiem i doświadczeniem pism dawnych organizacji młodzieżowych. „Wici” i „Wolna Wiciowa Gromada”, zwłaszcza w ostatnim okresie swego istnienia, stanowiły dobry wzór pism — instruktażu dla chłopskich aktywistów młodzieżowych. Obydwa te pisma były, jak wiadomo, ściśle powiązane z terenem siecią sprawnie funkcjonujących korespondentów. Podobnie na odcinku miejskim — „Walka Młodych”, która utrzymywała ponadto żywy kontakt z zagranicznymi ośrodkami młodzieży demokratycznej.

„Pokolenie” miało więc warunki na zgromadzenie w gronie najbliższych współpracowników — rozproszonych po dawnych pismach piór młodzieżowych i co więcej — mogło wykorzystać osiągnięcia tych pism.

Tymczasem po przeczytaniu 9 numerów „Pokolenia”, jakże dotąd wyszły, nasuwa się wniosek, że stało się tak tylko w części.

Pierwszy numer pisma ukazał się w dwa dni po wrocławskim kongresie zjednoczeniowym. Wypełniły go zapowiedzi wielkiej pracy nad łączeniem dawnych organizacji młodzieżowych, oświadczenia przewodniczących dawnych „Wici”, ZWM-u i TUR-u i deklaracja ideowo-programowa ZMP. Równocześnie ruszyła zjednoczeniowa robota w terenie. Ale tej nielatwej przecież i odpowiedzialnej pracy „Pokolenie” z pomocą nie poszło.

Młody, zapracowany i często niedoświadczony aktywista z terenu daremnie szuka w następnych numerach wskazówek dla akcji zjednoczeniowej. Jasne jest, że instruk-

DROGI DO MARKSIZMU

cone na marksizm”. Spotykamy natomiast — według niego — „wielu młodych krytyków wkładających dużo zapasu w rozważania socjologiczne”.

Można by najpierw kwestionować to „wielu”, skoro młodych socjologizujących krytyków da się policzyć na palcach obu rąk — Ale mniejsza z tym! Można też odesłać Ważyka do obrad zakończonych przed niewiele dniami III zjazdu polonistów, aby tam przekonał się o słuszności — czy raczej niesłuszności swej tezy. Ale i to nie jest w tej chwili najważniejsze. — Przede wszystkim nie można zgodzić się na zdziwienie czy oburzenie Ważyka jeśli chodzi o meritum sprawy.

Jest grupa krytyków — socjologów? No tak, ale robił dla nich przez dwa lata wykłady prof. Chałasiński, chuchał i dmuchał na nich Kott, brał ich pod opiekunkę skrzydła sam Zółkiewski! Brała „Wieś”.

Nie ma — jak twierdzi Ważyk — krytyków-marksistów? A skądże być mają? Z czterech czy pięciu przełożonych na polski język artykułów świętego Łukacza? Z jednego lub dwu fragmentów Winogradowa (w nieświeżym zresztą tłumaczeniu?). — Metoda i umiejętność jej stosowania nie rodzą się z dnia na dzień. Jedna jaskółka nie czyni wiosny. Już sam przebieg zjazdu polonistów dowodzi, że jak na istniejące obiektywne warunki — młodzi zrobili niewiele.

Nie oni też muszą uderzyć się w piersi. Nie oni zasypiali gruszką w popiele! Winne są tu braki w planowej gospodarce organizacji nauki.

„P O K O L E N I E”

cje rozchodzą się przede wszystkim drogą organizacyjną. Ale w takim razie „Pokolenie” powinno być miejscem, z którego widać było by wyraźne oddziaływanie i zasięg tych instrukcji. Młody aktywista nie znajduje także oparcia ideologicznego w piśmie. Hasła — „budujemy radosną przyszłość”, „kroczymy w pierwszych szeregach”, owe skróty — mają zapewne znaczenie na uroczystych akademiach, ale w praktycznej działalności terenowej potrzebne są konkretne wypracowane wzory oddziaływania społeczno politycznego. „Pokolenie” zrezygnowało jednak z funkcji instruktora koniecznego dla nowo powstającego Związku Młodzieży Polskiej. „List otwarty do koła ZMP” — Mieczysława Grada stanowi doskonały wzór wyjaśnienia członkom zjednoczonej organizacji młodzieżowej ich bieżących zadań. Ale jest to jeden jedyny wyjątek na przestrzeni 9 numerów.

Na podstawie lektury czołowego pisma

Andrzej Wróblewski

JESZCZE W SPRAWIE SZKÓŁ PLASTYCZNYCH

O becne wyższe szkolnictwo artystyczne stoi pod znakiem kapizmu. Jest to polska odmiana francuskiego impresjonizmu w jego formie schyłkowej. Genealogia jest więc niepokojąca. Analiza twórczości kapistów prowadzi do wniosków krytycznych. Najpierw (1), doktryna ich jest czystym formalizmem: zadaniem artysty jest wyrażenie przestrzennych i światłociennych elementów rzeczywistości — barwą, przy zachowaniu zasadniczej dekoracji płótna. Następnie (2), metoda pracy budzi zarzut aśpoleczności: malarz eliminuje wszystko, co nie wchodzi bezpośrednio w zakres doktryny, dla precyzji swej pracy analitycznej. Dezaktualizuje obraz oderwaniem go od rzeczywistości i nie uwzględnia, w swych kolorystycznych kombinacjach, potrzeb odbiorcy. Wreszcie wymieniony formalizm doktryny (1) i aśpoleczna metoda pracy (2), powodują z kolei niezdolność do wypełniania konkretnych zamówień społecznych (3), — i do wzbudzenia jakiegokolwiek oddźwięku w społeczeństwie. — Salony związkowe z przewagą malarstwa kapitalistycznego budzą tylko pesymistyczne refleksje o nieprzydatności „sztalugowców” w dzisiejszym społeczeństwie.

Akademia jako forma wyższej uczelni artystycznej jest obciążona dziedzicznie konserwatyzmem. Opiera się na następującej koncepcji szkolenia malarza-twórcy: Młody i uzdolniony student powinien poznać dobrze sztukę dojrzałej generacji. Z jednej strony, nauczyć się dyscypliny pracy, która w każdej epoce jest ta sama, z drugiej, w twórczości swych profesorów znaleźć punkt oparcia dla własnego rozwoju, przez co zostanie zachowana logiczna ewolucja szkół malarskich.

Powyższa koncepcja mogła być słuszną w okresie stabilizacji społeczeństw lub klas, którym sztuka służyła. Mogła być słuszną w czasach społecznej izolacji sztuki

Są gdzieś — nie tak daleko nawet — doświadczenia uczonych radzieckich, są podręczniki, rozprawy, wyniki pracy wielu lat i pokoleń. Korzystają z nich z powodzeniem setki tysięcy studentów radzieckich, gdy dla naszych drukuje się wciąż jeszcze tomy metafizycznej „Nauki Polskiej”, urągającej pojęciu nauki i wydając broszurki prof. Białobrzęskiego, nie wiadomo dla jakich zalet zalecone przez Ministerstwo Oświaty do użytku szkolnego.

Są też gdzieś, oczywiście — trochę dalej, lecz jeszcze w naszym zasięgu — francuskie prace z marksistowskiej teorii kultury, ale nasi liczni referenci nauki, kultury, prasy i propagandy, zwywni za ciężkie państwowe pieniądze w podupadającą „stolicę świata”, przysyłają tylko tuzinkowe wiersze i kilometrowe artykuły o Sartre, którego znamy raptem dwie sztuczki (o dwie za dużo), ale o którym czytaliśmy już ze trzydziści nudnych artykułów. Gdzie proporcja, panowie? Bokiem wychodzi nam Sartre, z którym wystarczająco chyba „załatwił się” Ważyk w „Kućnicy” przed rokiem — a o pracach z marksistowskiej teorii kultury śnimy po nocach jak o zakazanych jabłkach.

Będzie tak dopóty, dopóki dobra wola młodych napotykać będzie tylko na dobre chęci — i to ich własne. Dopóki wielkie wołanie o książki rosyjskie, francuskie — wszystko jedno zresztą jakie, byle dobre, postępowe, marksistowskie — wołanie o przekłady najcenniejszych podręczników i prac radzieckich będzie głosem wołających na puszczy.

Z.M.P. nie może odtworzyć sobie nawet uważny czytelnik, jak właściwie funkcjonują terenowe koła i zarządy. „Pokolenie” nie ma stałych, rozrzuconych po całym kraju, korespondentów. W piśmie nie słychać głosów z terenu, nie widać wymiany doświadczeń, nie pojawiają się także tematy do dyskusji, brak projektów mogących posunąć organizację w jej rozwoju. Pewno, że cenne informacje z życia Z.M.P. na prowincji zawiera list Jana Bąbka — instruktora, ale znowu jest to jedyny wypadek na przestrzeni 9 numerów pisma.

Owszem, bogato reprezentowany jest dział międzynarodowych wydarzeń politycznych. Odnosi się wrażenie, że Komitet Redakcyjny wie znacznie więcej co dzieje się w Vietnamie niż w prowincjonalnym kole Związku Młodzieży Polskiej. Jest to jednak tylko w części pocieszające, ponieważ tę samą robotę wykonują właściwie wszystkie dzienniki w kraju.

ki i jej zupełnie autonomicznego rozwoju. Malarstwo w społeczeństwie dzisiejszym jest jednym ze środków wychowawczych i, narówni z literaturą, muzyką i teatrem, czerpie swój materiał i określa swe cele na podstawie życia społeczeństwa, które mu służy. Kształcenie artysty nie może polegać tylko na wtajemniczeniu go w sztukę, która właśnie osiągnęła swój punkt szczytowy i stała się akademizmem, a to z następujących powodów: rozwój sztuki jest wyrazem rozwoju społeczeństwa a nie ewolucją oderwaną; sztukę nową determinuje nie przestarzała sztuka poprzedniej epoki, lecz nowy kontekst społeczny epoki dzisiejszej; w naszej sytuacji sztuką, która doszła do punktu szczytowego, jest kapizm, kierunek, kształtowany w okresie międzywojennym, i, jak próbowałem wykazać, z gruntu aśpoleczny.

Akademia powinna dziś spełniać, oprócz swej tradycyjnej roli „wtajemniczenia”, obowiązki, narzucone jej przez potrzeby chwili: powinna potęgować kontakt studenta ze społeczeństwem, uczyć go włączania życia społeczeństwa w zakres zainteresowań artystycznych. Akademia powinna być instytucją, ułatwiającą studentowi kontakt z wszelką sztuką, najstarszą i najnowsza. Powinna popierać eksperymenty, stwarzać jak najbogatsze środowisko koleżeńskie, uczyć wczesnie odpowiedzialnych wystąpień publicznych. Nie czuje się zresztą na siłach do podania choćby przybliżonego wykazu rzeczy, które by powinny być zmienione. Niniejszy artykuł ma służyć raczej do postawienia sprawy reformy Akademii na porządku dziennym. Sam program tej reformy, to dopiero przyszłe zadanie czynników rządowych i pedagogicznych z jednej strony, a samych studentów (zwłaszcza ich bardziej uświadomionej części, zrzeszonej w ZAMP i kołach artystycznych) — z drugiej strony.

Ponowny wybór Trumana

Nader szybko sprawdzili się słowa Stalina, że imperialiści pragną wojny, ale nie mogą jej prowokować, gdyż narody są przeciwne wojnie. W Ameryce podległe wojenni od dwóch mniej więcej lat prowadzą intensywną propagandę wojenną. Straszą naród groźbą jakiejś obcej inwazji. Kłamią i szkalują. Przy tym — potrafią grozić bombą atomową. Kiedyś nawet gen. Clay krzyknął patetycznie, że będzie bronił zbrojnie Berlina. Rzeczywiście krzychał. I oczywiście przyrzeczenia nie wypełnił. Bo łatwiej jest mówić — niż robić. Łatwiej jest ogłupiać naród amerykański — niż pociągnąć go do walki przeciw urojonemu przeciwnikowi. Czy myślicie, że naród amerykański nie zadaje sobie pytania — kto stanowi większe niebezpieczeństwo: odradzający się faszyzm niemiecki i japoński, czy też Związek Radziecki, który ocalił świat i cywilizację przed zalewem nowoczesnego barbarzyństwa? Czy myślicie, że miliony ludzi w Ameryce — poza „wszechsłyszającym” uchem Komisji do Badań Działalności Antyamerykańskiej — nie szukają przyczyn wzrostu cen, strajków, rozpraszania się bezrobocia — i doprawdy nie rozumie, dlaczego rząd amerykański miast zatroszczyć się o poprawę bytu i warunków materialnych swego narodu i rozwiązania trudności gospodarczych, w jakim znalazł się kraj — mówi o wojnie, która na pewno nie podniesie stopy życiowej szerokich mas ludności amerykańskiej — i zbawienia szuka w bombie atomowej, która, jak dotąd, nie przyczynia się do podniesienia stopy gospodarczej, tylko zniszczenia? Tęgo rodzaju pytania drażnią umysły obywateli Stanów Zjednoczonych.

Te nastroje wyczuł Truman. Zagrał na nich. I wygrał — ponowną czteroletnią kadencję w Białym Domu. Czy wyciągnie na przyszłość wnioski z tych wydarzeń i nastrojów narodu amerykańskiego? Czy zrozumie, że jest on przeciwny polityce terrorku, strachu, wojny i Komisji Badań Działalności Antyamerykańskiej? Zależy to od jego wyczucia politycznego i ludzi, jakimi się otoczy. Istotne jest jednak, że będzie musiał się liczyć — chcąc nie chcąc — z antywojennymi nastrojami narodu amerykańskiego.

K. S.

Co ze szkołami na wsi

W ubiegłym roku szkolnym wiejskich szkół powszechnych było 19.485. Jest to cyfra stosunkowo duża, szczególnie gdy weźmie się pod uwagę zniszczenia wojenne na tym odcinku i znaczny ubytek ludności. Nie znaczy to jednak, aby problem oświaty powszechnej na naszej wsi przedstawiał się dobrze. Cóż bowiem mówi statystyka?

Mówi, że na 19.485 wiejskich szkół powszechnych mamy jeszcze 8.437 szkół o jednym nauczycielu, a więc około 40 proc. W takich szkołach uczyło się ubiegłego roku 455.000 młodzieży chłopskiej. Cóż to oznacza?

1) W szkole o jednym nauczycielu młodzież uczy się tylko 15 godzin tygodniowo, podczas gdy w pełni obsadzonej — 22 godziny. W skali rocznej tracą tu dzieci chłopskie 224 godziny nauki, ponieważ uczą się w ciągu roku szkolnego jedynie 489 godzin. Pełna szkoła zapewnia 704 godziny nauki.

2) Wartość nauczania w szkołach o jednym nauczycielu jest niewystarczająca. Nauczyciel pracuje rano i po południu ucząc równocześnie dwie klasy w jednej sali (głośnie i ciche zajęcia).

3) W szkole o jednym nauczycielu jest trudno ożywić życie społeczne młodzieży. Nie ma tam zazwyczaj ani świetlicy, ani chóru, zorganizowanego czytelnictwa itp. Natomiast osamotniony nauczyciel nie znajduje warunków na pogłębienie i poszerzenie własnych wiadomości.

4) Szkoły o jednym nauczycielu dają wykształcenie najwyższe w zakresie 4 klas. Po ich ukończeniu nie może młodzież przejść do szkół średnich. Dlatego wiś nad nią bardzo często widmo wtórnego analfabetyzmu.

Wydaje się, że sytuacja na odcinku kształcenia nauczycieli przedstawia się nieźle. W roku szkolnym 1945/46 uczyło się w liceach pedagogicznych, kursach pedagogicznych i w szkołach przygotowawczych — 18.300 przyszłych nauczycieli i nauczycielek. W bieżącym roku szkolnym cyfra jest jeszcze większa.

Gorzej jest jednak z budownictwem szkół. Przed samą wojną co druga szkoła wiejska mieściła się w wynajętym, przeważnie jednoizbowym lokalu. Nie mam pod ręką aktualnych cyfr, myślę jednak, że obecnie sytuacja nie uległa poważniejszemu zmianom. Stąd też zagadnienie budowy szkół wieloizbowych staje się bardzo ważne. Jasne, że nie wystarczy tu pomoc państwa. Trzeba pomyśleć o społecznej akcji budowy szkół wychodzącej od samych chłopów.

Jest więc duże i ważne pole do działania dla partii politycznych, Służby Polsce, wiejskich kół Związku Młodzieży Polskiej. Bo przecież sprawa pełnej oświaty powszechnej na wsi, to w znacznej mierze sprawa wieloizbowych budynków szkolnych.

D. P.

Lekcja wychowania

W „Tygodniku Powszechnym” (Nr. 45) ukazał się „List pasterski Episkopatu Polski”.

Władcy Kościoła katolickiego w Polsce starają się na wstępie przekonać wiernych o żywiołowości Ojca św. dla Polski. Przekazują naszym krajowym zapewnienie i Ojca św. i Sekretariatu stanu Jego Świętobliwości, że nigdy nie kwestionowali ani granic Rzeczypospolitej Polskiej, i że nigdy nie myśleli zajmować się sprawą granic, o których stanowią nie czynnik kościelny, lecz międzynarodowe umowy.

F A K T Y i Z D A N I A

Szeroko otwieramy na to oświadczenie ocy. Na przestrzeni ostatnich dwóch lat każdy nieuprzedzony czytelnik mógł obserwować wyjątkową działalność książy Kościoła, wiążącą akcjami dyplomatycznymi Watykan i USA, Watykan i Hiszpanię gen. Franco, Watykan i Niemcy stref zachodnich a wreszcie Watykan i Francję z rosnącymi wpływami gen. de Gaulle’a.

„Verba volant, scripta manent”. W związku z naszymi granicami zachodnimi sporo napisali niemieccy dostojnicy Kościoła katolickiego. Zakładając dyscyplinę hierarchii kościelnej, nie można sobie wyobrazić, żeby ich oświadczenia nie były opatrzone papieskim „nihil obstat”.

Nie kwestionujemy ojcowskiej miłości Ojca św. dla narodu polskiego, nie zaprzeczamy jego przyjaznego stosunku do Polski. Pytanie tylko, jaką Polskę zechciałby papież obdarzać uczuciami swojej sympatii? Wynika to jasno z treści zamieszczonego listu pasterskiego. Mamy tu kilka sformułowań, które są równoznacznikiem Polski dzisiejszej przemian społecznych. Polska ta ogarnięta jest „zarazą rozchwiania obyczajów”, w tej Polsce „niejedno serce tworzy się i popada w odrętwienie”, „narod polski nie upada jednak na duchu, nie gubi się w skargach i lamentach”. — Oto kilka typowych określeń, malujących sytuację kraju. Ojciec św. błaga Boga, „by ten kraj pod roztropnym a troskliwym przewodnictwem dostojnego Episkopatu mógł zawsze i słusnie szczerzyć się chwalebny tytułem swej niezłomnej wiary”.

Episkopat nasz daje w związku z tym cały szereg wskazań: rodzice katolicy nie powinni się troszczyć o to, by dzieci ich otrzymywały wiedzę, zdobyły zawód, by tą wiedzą i zawodem przyczyniały się do odbudowy zniszczonego kraju, by umiały kierować nim w przyszłości według zasad sprawiedliwości społecznej, gdzie nie ma wyższości człowieka przez człowieka. Kardynałowa troska rodziców ma być nieposyłanie dzieci do szkół, z których usunięto naukę religii.

„Dziecko już na kolanach matki ma uczyć się znaku krzyża św. i krótkiego pacierza, w wieku przedszkolnym ma ono poznać Chrystusa i Matkę Najświętszą, kochać rzeczy święte, brać udział we wspólnym pacierzu. Młodzież dorastająca ma wypełniać swoje życie religijne przez liturgie i sakramenta św.”.

Zasady wiary katolickiej są wieczne i niezmiennione, niezmienny jest również jej system wychowawczy. Należy więc przypuszczać, że odwołanie się do historii potwierdzi nam, czy system ten dawał dobre rezultaty. Redakcja nasza otrzymała właśnie od Władysława Błachut materialu, omawiającego broszurę Jana Nepomucena Janowskiego (1862 r.). W broszurze tej autor powołuje się na dokumenty „Litvanicum Soc. Jesu historiarum libri X”. Dowiadujemy się stąd, że z nadania Jezuitów organizowały się w XVII w. sekty biczowników, które miały umacniać wiernych w przywiązaniu do wiary. Członkowie tych sekt rozwijali niewątpliwie dużą inwencję. Między nimi znalazł się i Albrecht ks. Radziwiłł, „który wymyślił sobie taką machinę, w której się pewnych czasów zamykać kazał. Ta tak misternie zrobiona była, że się w niej ani ręka, ani noga ruszyć nie mogła, albowiem zupełnie był zamknięty, oprócz tyłu, w który go uczynionym ku temu celowi otworem — użyte do tego celu osoby różnymi siekły...”.

Polska XVII wieku była najbardziej katolickim krajem w Europie. Na skutek tego miała jezuickie szkoły, no i miała sekcje biczowników — nie zapewniło jej to jednak rozwoju gospodarczego, nie wpłynęło na rozkwit nauk, nie podniosło kultury, nie dało postępu społecznego, przeciwnie, prowadziło nieuchronnie do ruiny narodowej i utraty niepodległości. Dzisiaj, gdy naród w nowym ustroju w niestęchającym trudzie przebudowuje swój system produkcji, gdy na wszystkich szczeblach dokonują się przemiany społeczne i kulturalne — dzisiaj Episkopat Polski zaleca nam wychowywanie młodzieży w duchu, który w przeszłości zrodził nam Albrechtów, Radziwiłłów.

Młodzież polska uczy się historii, młodzież polska już wie, co to jest naukowy pogląd na świat, wie również, że „krwawe przewroty” to nie kara Boża za bezbożność i rozpu-

stę, ale konieczne fakty historyczne, świadczące o postępie społecznym.

M. K.

Co kogo?

Różne są troski i zainteresowania w naszej dzisiejszej rzeczywistości, różne zależności od tego, z jakich kręgów społecznych i tradycji wychodzimy. Episkopat nasz troszczy się generalnie, by „domy polskie promieniowały cnotą, skromnością, pracowitością, uczciwością, pobożnością, pięknymi tradycjami religijnymi i narodowymi”.

Czołowy publicysta katolicki — Kisiel w swoich felietonach „Pod wios” będzie wspierał utwierdzenie pięknych tradycji religijnych i narodowych. Jeżeli jego zapowiedzi felietonów w „Tygodniku Powszechnym” nie są kawałem (a Kisiel lubi nabierać swoich czytelników) — no to rzeczywiście i na tej „niwie” można zauważyć subtelnie rozgrywaną „walkę klasową”. Wszystko może być naturalnie żartem, dlatego nie czas na wyciąganie konsekwencji. „Żart jednak niech się żartem odejść”.

Kisiel obiecuje swoim czytelnikom dużą frajdę. Będzie im mówił o Krakowie. A więc o poranku w Krakowie, o dniu i wieczorze grodu, w którym rezyduje kardynał Sapiecha, będzie mówił o listopadzie w tym mieście, o zimie. Zapowiada, że stać go na swojego rodzaju krakowskie „perpetuum mobile”.

Można by podejrzewać tu specyficzną postawę pisarską „na dziś” publicystów określonego kręgu. Jest tak zresztą i z niektórymi naukowcami. Jeden z czcigodnych profesorów historii literatury ma również na swoim koncie coś w rodzaju perpetuum mikiewiczowskiego. Ale jak interesująco skonstruowane? Na seminarium z swoimi uczniami przerabiał on ciągle tak frapujące „problemy”: „Poranek w poezji Mickiewicza”, „Wieczór w poezji Mickiewicza”, „Anioł w poezji Mickiewicza”, „Diabeł w poezji Mickiewicza” i tak w nieskończoność.

Drugi z wymienionych to już na pewno (a Kisiel — to się jeszcze okaże) uprawia swoją „dziwną zabawę”. Wobec niewątpliwie brzydko dla ucha pisarzy katolickich „skrzeczącej” dzisiejszej rzeczywistości — można zająć właśnie taką postawę — zgłębienie swoje „desinteressement”, — toteż jednak jest walka. Może się uda wyizolować swoich uczniów i swoich czytelników z problematyki dzisiejszej. Będzie ich się czarowało mgiełkami krakowskimi, asocjacja mi dawniej staropolskiej kuchni. Inwencje tu można dużą rozwinąć, potrzeba tylko talentu, no a Kisiel talent niewątpliwie ma. Ciekawymy bardzo jak będzie dalej prowadził swoją „dziwną zabawę”.

L. S.

„Wniebowzięty autor”

W Nrze 45 „Dziennika Literackiego” Jalu Kurek kończy swój reportaż o objazdzie po ziemi krakowskiej i rzeszowskiej słowami biblijnymi. „Nie samym chlebem człowiek żyje”. Oczywiście, bo oprócz chleba, trzeba też człowiekowi, jeśli już nie wiedzy, to przynajmniej doświadczenia takiego, jakie zdobył autor „Grypy” w czasie objazdu dwu województw. Rozreklamował kulturę jak pastę do zębów i to wystarczyło, bo „słuchacze wzruszeni, zasłuchani, cisi” — i z biernej ich postawy Jalu Kurek przekonał się o ich „niesfalszowanym stosunku do kultury, stosunku niezakażonym wielkomięskim snobizmem i zafascynaniem”. Pochwala więc prowincję, gloryfikuje młodzież i nauczycielstwo.

Ze opisu Kurka czytelnik doznaje wrażenia, że autor (J. Kurek) bardzo rzadko styka się z ludnością prowincji, choć sam radzi innym autorom tworzyć w „kontakcie z społeczeństwem, a nie w izolacji za szklaną szybą”.

W początku podróży zajął się Kurkowi Bochnia „żyjąca swoją solną sławą”. No i ta „sala trzykrotnie nabitą młodzieżą”. Być może, iż w tym „solnym okręgu” ludność jest mądra (sól — symbol mądrości) i Jalu Kurek nie potrzebował nawet wdawać się w dyskusję z słuchaczami i na ognistym wozie uniesień pojechał do Miecia. Tam poznał „zabarowanego inspektora oświatowego Regnera” i to mu wystarczyło za dowód, że tamtejsza ludność jest dość przygotowana do konsumpcji kultury.

Z kolei w Tarnobrzegu poznał Kurek drugiego inspektora Steina, z śpiewną kresową mową, przystojnego Zimolaga „z zabójczą czupryną”, następnie pokazał mu starostę „odnowiony lokal”, gdzie rozpoczął z „panią Weissową budującą mowę o alkoholizmie”.

W Dębicy zobaczył Kurek ponad 800 młodzieży szkolnej, kwiaty, przemówienia „Młode pokolenie debiście spisało się porządnie”. Mądre to musi być pokolenie i tak wzniosłe przemawiające, aż Jalu Kurek rzucił z radości kwiaty. A na deser „list od pani Grabowieckiej, córki podhalańskiej Naprawy”.

W Tarnowie Kurek domyślił się, że trzeba z słuchaczami rozpocząć dyskusję. Musiała to być dziwna dyskusja, skoro według Kurka tamtejsza „młodzież wykazuje wiele zainteresowania i orientacji”. Bo według mnie — to gdyby młodzież była dość zorientowana, teżby zarzuciła autora kwiatami.

W końcu swego etapu, w miasteczku Biecz, poznał Kurek „piękną postać ideowca dra Bielskiego”.

Tyle dowiedzieliśmy się od Jalu Kurka z jego objazdu po całej prawie Małopolsce. Były „zabite sale”, zorientowana młodzież, piękne postacie, z zabójczymi czuprynami, inspektorzy, doktorzy, oświatowcy, odnowione lokale z wieżyczkami, kwiaty, wzniosłe przemówienia, pochwalne listy, sól mądrości i wszystko, co tylko sam Bóg stworzył na tym ziemskim padole. Na tym właśnie według Kurka polega „prawdziwy niesfalszowany, niezafascynany stosunek ludności prowincjonalnej do kultury”. Kurek nie postarł się sprowokować tej biernej i na odmiennie ośniewanej swą postacią — publiczności do dyskusji na ich stosunek do obecnych przemian społecznych, do klasowej twórczości, do czytelnictwa, do kultury itd... Może i dobrze zrobił, bo zamiast kwiatów pod stopy — byłby otrzymał wiele cierpkich uwag, posadzeń, głupich wykrętów i zrozumiałby, że się znalazł nie „w kraju króla Cwiczka”, lecz w zapożniewionej prowincji, która jeszcze dużo pozostawia do życzenia na każdym polu ogólnego postępu życia.

Kurek z objazdu wyniósł jedno doświadczenie: ludność na prowincji jest „cicha, zorientowana, nieskazana, niezafascynana, uspołeczniona, oczyniana, ukulturalniona”. Więc o ileż „Czytelnik” zrobiłby lepiej, by zamiast Kurka — wysłał w krakowskie i rzeszowskie parę transportów swoich pism i książek...

Józef Pogan

Post Scriptum

W chwili pisania tych słów myślę właśnie o swym objeździe Śląska w dniach: 21, 22, 23 i 24 listopada. Ciekaw jestem nastroju słuchaczy. Jednak z góry jestem przekonany, że ani jeden kwiat nie padnie pod moją stopę. A to dlatego, że między mną a słuchaczami nie będzie żadnej przestrzeni.

J. P.

Jak święci Pańscy dopomagają przy egzaminie z teorii marksizmu

Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego wprowadziło ostatnio dla nauczycieli gimnazjalnych, którzy ubiegają się o przyznanie pełnych kwalifikacji, przymusowy egzamin z zagadnień Polski i świata współczesnego, z teorii marksizmu, z ekonomii i nowoczesnej metodologii nauk. Jest to posunięcie niezmiernie celowe i słusze (szkoda tylko, że o ile wiem, odosobnione. Inne kuratoria uważają prawdopodobnie, że mają czas).

Nie wiem, jak ten odpowiedzialny i niełatwy egzamin wygląda (część teoretyczna obejmuje zagadnienia dość trudne i dla większości kandydatów, mimo czterech lat Niepodległości — świeże), ponieważ jest tajemnicą poliszynela, że znłomny tylko odsetek nawet spośród nauczycieli tego pokolenia czyta poważną prasę społeczną i naukową.

Kandydat do egzaminu, znajomy nauczyciel łaciny w gimnazjum, „którego nazwiska nie wspomnę, nie to albowiem do rzeczy nie przyda”, prosi mnie o „fachową pomoc”. Ma dwa miesiące na przygotowanie się. Po zorientowaniu się w programie daje mi dwie broszury klasyków (ograniczam się w ogóle do minimum), Schaiffa, Gasiorowską, broszurę Zółkiewskiego o nauczycielstwie, Hist. Gospod. Kuli, Dyllikę, kilka artykułów z „Kulczyń” i „Wsi”. Zachęcał się, spojrzał na mnie z ukosa tak jak się patrzy na kogoś, kto kpi i o drogie pyta, a także jak się w niektórych kołach patrzy na „prawdziwego markiste”.

Rozmowa mój znalazł dużo łatwiejsze i skuteczniejsze środki pozbycia się „kłopotu”.

1) zeszyt przedmiotowy swego młodszego brata z Nauki o Polsce Współczesnej (brat miał podobno z tego przedmiotu czwórke).

2) codzienna nowenna do świętych Pańskich szczególnie zainteresowanych w szczególnym zdawaniu egzaminów przez wiernych.

I rzeczywiście, moje propozycje okazały się donkiszoterią, a święci pańscy pochwili dopomogli nawet przy tak dla siebie niesympatycznym przedmiocie jak marksizm. Mój łacinnik zdał „na bardzo dobrze”. Egzamin trwał raptem 12 minut. Pytania postawione zgola niekłopotliwe:

1) szkoły w Sparcie, 2) jakie mamy obecnie partie polityczne? 3) Kiedy został ogłoszony Manifest P.K.W.N i co zawierał? Po tym oczywistym sukcesie mój rozmówca jako „spec” objął wakującą „Katedrę” zagadnień. A lekcje łaciny? Aktualizuje... emanacje „Wiecznego Ducha Hellenizmu” na polskich „Wieszczów”.

Czcigodni egzaminatorzy, wiadomo, że macie mało bardzo czasu, a wielkie serca. Ale niechże ten egzamin nie będzie fikcją, gdyż w takim wypadku fikcją staje się i likwidacja niedomagów naszego dzisiejszego szkolnictwa.

T. R.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.

Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-89.

Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.

REDAKCJA REKOPISÓW NIE ZWRACA

Ceny ogłoszeń: 1/1 kolumna 60.000.— zł; 1/2 kolumny 30.000.— zł;

1/4 kolumny 15.000.— zł; 1/8 kolumny 8.000.— zł;

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133, Telefon 100-89.

Warunki prenumeraty: miesięcznie 90.— zł, kwartalnie 280.— zł, półrocznie 560.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto

PKO ŁÓDŹ VII—1080.

Drukarnia Nr. 4 Spółdz. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” — Łódź, Żwirki 2, D—02879.